MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 2. WARSZAWA, 13 STYCZNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

ATAK NA KULTURĘ

ARTYKUŁ publicystyczny p. Janusza Jędrzejewicza (w tyg. „Pion") odbił się wielokrotnem, systematycznem echem w pewnym odłamie prasy sanacyjnej, niby jakiś obowiązujący komunikat. Jakaż to siła magiczna nadaje mu takie znaczenie? Temat w tytule: „Polityka kulturalna Państwa", chodzi zaś konkretnie o wypływający z jakichś nieznanych źródlisk inicjatywy projekt ustawy o bibljotekach gminnych, w oparciu materjalnem o nowy podatek pogłówny. Autor artykułu powołuje się na swój niedawny charakter urzędowy, w którym „jako szef rządu próbował ustalić kolejność zagadnień polityki kulturalnej Państwa", obecnie jednak próbuje wykończyć tę planową gospodarkę już tylko swoim wpływem prywatnym. Poprzednio publicystyka — ba, nawet członkowie Izb ustawodawczych — nie wiele mieli do gadania, ale tutaj w szrankach opinji publicznej, skoro p. Jędrzejewicz czuje potrzebę porozumienia się z nią (bo pocóżby pisał?), każdy, kto coś wie o polityce, ma pewien obowiązek ucha nadstawić.

I

O czemże to mowa? Motyw przewodni artykułu p. J., gdy go ująć w zdanie proste, brzmi: Państwo buduje kulturę. Zadanie umysłowe czytelnika ściąga się do rozbioru logicznego tego zdania. Co to jest kultura? Czy można ją budować (w żargonie biuralistycznym: rozbudowywać)? Dlaczego państwu narzucać to zadanie?

Wyrazu kultura używamy do określenia zdobyczy, jakie osiągnęło życie duchowe jednostki, grupy, czy całości społeczeństwa w uprawie swoich wartości i uzdolnień. Mówimy o kulturze gospodarczej, towarzyskiej, artystycznej, literackiej, naukowej, ale nadewszystko cenna jest—ze względu na życie zbiorowe — kultura obywatelska i polityczna. Nie jest to jakieś dobro rzeczowe, po za nami, lecz właściwość wewnętrzna, bogactwo w ludziach, najcenniejszy kapitał cywilizacji. Tylko ze zbytniego uproszczenia pojęć pochodzi to, że kulturą nazywamy pewien dział wytworów z ducha, jak nauka, literatura, sztuka. Czemuż nie inne także dziedziny twórczości: polityka, ekonomika, technika?

Na uprawę duszy (kulturę) złożyły się dzieje duszy czynnie spędzone w takim zakresie, jak: 1) religja, 2) obyczajowość, 3) przeżycia dziejowe narodu, utrwalone w tradycjach, 4) udział w życiu publicznem, 5) praca w zawodach, 6) wychowanie w rodzinie i w szkołach, 7) obcowanie z nauką, literaturą, sztuką i t. d. Ale w tym mniej więcej porządku, z gruntowną w podstawach kulturą pierwiastków idealistycznych, które w układzie duszy grają rolę organizacyjną.

Myśleć, że kulturę można robić od końca, że można ucywilizować człowieka zdziczałego społecznie, w nic nie wierzącego, przez pożyczenie mu ciekawej książeczki, lub zaprowadzenie na teatr — to złudzenie ludzi bez kultury. Kultura musi wpierw dorobić się człowieka przez uprawę jego przyrodzonych instynktów. Kto uczy, że kulturą można obdarzać jedynie przez samo meblowanie głowy, że wogóle wystarcza w tej mierze nauka, literatura i sztuka, ten wprowadza w błąd, odwracając uwagę od rzeczy zasadniczych.

Kultury nie można nikomu nadać w drodze administracyjnej, ona jest naddatkiem dziejów całego środowiska narodowego, dziejów rodu przez dziedziczenia, dziejów osobistych z wychowania, jest sprawą jakości, jak charakter, nie ilości, jak wiedza, mianowicie dobrego układu duszy na każdym poziomie cywilizacji. Kulturalny może być chłop niepiśmienny, niekulturalny bywa profesor uniwersytetu, gdy się znajdzie nie na swojem miejscu. Kulturze, jako skali życia wewnętrznego człowieka, właściwa jest zasada organiczności oraz samorzutnej chłonności. Z dobrej kultury, choćby na skromnym poziomie życia domowego

i społecznego, jak wiemy, dobywają się na świat genjusze, ktoremi chlubią się dzieje narodu, od ludzi zaś z „rozbudowaną” kulturą grozi nieraz społeczeństwu hańba.

Kultury nie trzeba traktować, jako czegoś, co się „rozbudować” da mechanicznie, zwłaszcza od końca, przez przypinanie kwiatka do kożucha. Dochodzi się do niej przez dobrą uprawę gleby, a nic tak gleby ducha nie zbogaca, jak działanie w poczuciu wolności, działanie, będące syntezą darów ducha. Próżna praca siać kwiaty na zaniedbaną w glebie łąkę. Żeby nie wiem ile wsypać w środowisko książek, gdy życie samo nie budzi potrzeby ich czytania, nic na tem kultura nie zyska. Kulturze potrzebny jest w podłożu idealizm, szczepiony przez religję i entuzjazm życia powszedniego, wciąganego w dzieje narodu. Gdy się to niszczy, to co pomoże nagrodzona przez Akademję Literatury powieść?

Że ogół polski jest zdrowy w kulturze mas, najlepszy dowód, jak pięknie wytrzymywał *Kulturkampf* zaborców. Wiedzieliśmy wtedy, że walka z kulturą — to walka o wiarę i aspiracje narodowe; nie broniono nam się uczyć i malować obrazów. Gorzej było z poezją, ona bowiem, idąc za głosem najgłębszego instynktu, broniła właśnie od ataku owe podstawy kultury, jakie naród ma w swojej wierze i patrjotyzmie. Na tem polega zasługa romantyzmu, zdobyta na polu kultury polskiej, jako jej obrońcy i twórcy. Mamy wszyscy w pamięci znakomity odczyt na ten temat Ignacego Chrzanowskiego. Kultura nie jest jakimś fragmentem potrzeb czy twórczości, lecz całością bytu duchowego.

II

Ale posłuchajmy p. Jędrzejewicza. On to rozumie, że opinja publiczna będzie zdziwiona nagłością wniosku, alarmem (ratujmy kulturę duchową!), a zwłaszcza natarczywością, z jaką z różnych stron zaskakiwana jest jednocześnie projektami „kulturalnemi”. Tu Akademja, tu teatry, tu znów Izby kultury, teraz znów bibljoteki gminne. Co się stało? Skądże na to pieniądze w czasach, gdy statystyka zapowiada pół miljona zarejestrowanych bezrobotnych? To też autor, żeby trafić do przekonania Elity, ułożył cały syllogizm, wychodząc z niezawodnej obecnie przesłanki państwowej a radosnej twórczości. Państwo budować musi kulturę duchową od początku, na nowo:

„Komplikacja życia... nieodzownie wymaga elementu kierownictwa“. „W splocie sprzeczności i rozbieżności celów grup zbiorowych(?), w atmosferze ustawicznej, ciężkiej nad wszelki wyraz walki o byt wszystkich z wszystkimi, musi znaleźć się miejsce dla woli centralnej, której zadaniem ma być koordynowanie wysiłków, usuwanie sprzeczności, regulowanie kolejności prac, narzucanie rozumnego kompromisu, wreszcie w razie potrzeby wymuszanie posłuchu siłą”.

Jak widzimy, jest to próba popularnego uzasadnienia, że potrzebna jest polityka wewnętrzna w państwie, a nawet uzasadnienia potrzeby wogóle państwa. Dlaczego jednak ta kwestja ma być aktualna w chwili obecnej z powodu jakoby szczególnej komplikacji stosunków? Zjawisko obecnego kryzysu polega na zbytniem uproszczaniu się stosunków. Przyczyny tego zjawiska są skomplikowane, to prawda, ale impas, którym charakteryzują się stosunki, jest zawsze uproszczeniem. Nie widzimy też „walki wszystkich z wszystkimi”. Ustała nawet walka socjalistyczna klas. P. Jędrzejewicz ma pewno na myśli walkę wszystkich Polaków z wszystkimi żydami, ale jest to właśnie dążność do uproszczenia stosunków, które żydzi komplikują. Jeżeli tylko na to potrzebna jest „wola centralna”, to owo centrum powinno przypadać na ośrodki życia polskiego i ich wolę wyrażać, a nie przenosić się na peryferje żydowskie.

Więc tutaj miara kultury. Stąd przeskok do polityki „kulturalnej”. Trzeba przerobić kulturę ducha polskiego. Oto zadanie dzisiejszego państwa. P. Jędrzejewicz tak tę przesłankę uzasadnia:

„Stąd zadania Państwa dotyczyć muszą nietylko polityki międzynarodowej, gospodarczej i społecznej. Stąd nasuwa się paląca konieczność zwartej, przemyślanej i skutecznej polityki kulturalnej, celowego rozbudowywania kultury duchowej, tak jeszcze u nas niskiej i ubogiej, ona bowiem jest w stanie wciągnąć masy ludzkie w świadomy udział w życiu zbiorowem — bez czego siła Państwa byłaby rzeczą konjunkturalną lub iluzoryczną.”

Z konjunktury jednem słowem, która w maju się nadarzyła, trzeba skorzystać w celu „przebudowania” i „rozbudowania” duszy polskiej na nowych podstawach. P. Jędrzejewicz w arkana odpowiednich sposobów jest wtajemniczony i dlatego może zaofiarować państwu swoje usługi w tym kierunku. Dużo już zrobił w szkolnictwie, rzeczą już jego konjunktury będzie gra dalsza. Zakwestjonować jednak trzeba rzuconą tutaj kartę, jakoby punktem wyjścia tej gry była troska o „niski i ubogi” stan polskiej kultury. Mamy to, na co stać było nasze dzieje, a dalszy rozwój zależeć będzie od potęgowania siły żywotnej tych dziejów w duchu narodowym.

Tutaj p. Jędrzejewicz „rozbudowuje” nową przesłankę, że państwo nie umiało dotąd „wytworzyć atmosfery dostatecznej troski o rozkwit wielkiej twórczości naukowej i artystycznej”, ani „rozbudzić dostatecznych potrzeb kulturalnych wśród ogółu naszej ludności.” Wszystko to zmierza do zamknięcia sylogizmu hasłem bibljotek gminnych:

„Stoi teraz przed nami na porządku dziennym sprawa o olbrzymiej doniosłości, gotowa już do rozstrzygnięcia: sprawa ustawy bibljotecznej, wszczęta z mojego polecenia, gdy jako szef Rządu próbowałem ustalać kolejność zagadnień polityki kulturalnej Państwa”.

Autor wymienia nawet, co już dzięki niemu zrobiło państwo. Zreformowało się szkolnictwo, łącznie z uczelniami uniwersyteckiemi (mamy już całą literaturę tego etapu), zaopiekowano się nauką (katedrami), potem twórczością powieściową, poetycką i krytyczną (Akademja Literatury), teatrem: Tow. kultury teatralnej (Szyfman), ustanowiono system konkursów i nagród państwowych i wogóle (Zawistowski). Teraz lansuje się przez Wilno — projekt Izb Kultury i ustawę bibjoteczną. Tutaj schwytany będzie w pęta nowych idej kulturalnych — szary człowiek.

Skąd środki na to wszystko? — zapytujemy. Odpowiada się na to tak:

„Są pewne dziedziny życia, których negować nie wolno pod grozą daleko idących następstw. Twierdzę, że wysiłek Rządu w kierunku rozbudowywania polityki kulturalnej Państwa winien być utrzymany, choćby się to spotkać miało z pewnemi kłopotami wobec słusznej polityki oszczędnościowej Rządu”.

P. Jędrzejowicz zwalcza materjalistyczny pogląd przeciwników tej polityki. Dla niego, jak się wyraża, „*imponderabilia*” — są sprawą najważniejszą.

III

Cała ta akcja ratunkowa koło kultury polskiej, tak nagła, pośpieszna, alarmowa, huraganowa, wyłączająca wszelkie inne potrzeby i klęski, jak bezrobocie i głód, ma jednak jeden wielki brak, który sprawia, że nie wywołuje ona żadnego oddźwięku w społeczeństwie. Owszem pyta się ono ze zdziwieniem: o co chodzi?

Skoro się idzie w pomoc jakiejś potrzebie duchowej, to przecież nie ma się na widoku operacji pod chloroformem; musi ta pomoc odpowiadać jakiemuś zapotrzebowaniu. Głód jest rzeczą subjektywną, społeczeństwo ma w sprawie swego głodu także coś do powiedzenia. Tymczasem ta gwałtowna inicjatywa pomija tę stronę rzeczy milczeniem, wskutek tego ma charakter jednostronnego ataku i tchnie zupełną obcością.

Przedewszystkiem atakuje moralnie — i to jest grzech tej akcji. Bo wygląda tak, jakby społeczeństwo polskie było wrogie — książce. I tu trzeba powiedzieć prawdę. Społeczeństwo pragnie rozwoju oświaty, ale musi mieć zaufanie do tych, co z jej „kagańcem" idą do niego.

Tu leży klucz. Sprawy duchowe są zagadnieniem jakości, nie mechanicznego działania. Nie jest sprawą obojętną, z jaką to książką ma się pójść do ludzi, z jaką oświatą, co się chce zrobić z duszą społeczeństwa. I to jest pytanie najważniejsze, którego inicjator nie chce słyszeć, manipulując tak, aby nigdzie ideowego programu nie dotknąć. A przecież jakaś idea ożywia jego gorliwość. Dajmy na to, są pieniądze, są lokale, są bibljoteczne szafy, są posady, są już pisarze książek, zgonieni przez Izby Kultury, ale w jakim duchu będą te książki? Będzie rozbudowa szaf, ale czy będzie rozbudowa dusz, czy też ruina ducha narodowego?

P. Jędrzejewicz ufa swemu talentowi publicystycznemu, z którym przemawia do „grup zbiorowych", ufa wymowie swych przesłanek ale, społeczeństwo też myśli i ma dosyć przesłanek rzeczowych dla swojej nieufności. Sposób uzasadnienia projektu ustawy bibljotecznej bynajmniej ufności nie budzi. Nie tylko dlatego, że nie dotyka *meritum* sprawy i obliczony jest na obejście woli narodu, ale także i dlatego, że jest czemś zewnętrznem nawet dla „woli centralnej", której autor plany swoje narzuca, ekscytując ją hasłem etatyzacji bez liczenia się z trudnościami, jakie jej się nastręczają w stosunkach wewnętrznych.

Wymowny publicysta „Pionu" nie liczy się w planach swoich z kryzysem ekonomicznym, w jakim znalazło się społeczeństwo, ale zbytnio liczy na jego kryzys umysłowy i moralny, nawet na to, że straciło poczucie śmieszności. Przy biurku urzędniczem można stracić w tym względzie orjentację, ale przy dziennikarskiem trzeba ją mieć. Stan umysłowy i moralny społeczeństwa w masach nie jest zły, nie ma powodu robienia alarmów; kryzys przeciwnie zdarzył się Elicie obecnej, bardzo zacofanej w kulturze politycznej, jeśli za miarę kultury tej weźmiemy, jak się to czyniło zawsze, znajomość stanu społeczeństwa, zdolność wnikania w jego dążenia i potrzeby oraz odpowiednią reakcję sumienia obywatelskiego.

Wystarczyłoby dla sprawdzenia słuszności tego twierdzenia pogadać pół godziny o sprawach publicznych — już nie mówię z chłopem polskim na zagrodzie, który dzisiaj jest modelem miarodajnym obywatela, ale ze starszym dorożkarzem warszawskim, a potem porozmawiać z przedstawicielem Elity w kawiarni „Europejskiej", aby się przekonać, jak rzeczy stoją w dziedzinie kultury.

Uważać musimy za objaw pocieszający, że projektomanja „kulturalna", w grunie rzeczy bardzo niekulturalna, spotkała się z objawami pewnego krytycyzmu w łonie radosnego zwykle obozu sanacyjnego. Zareagowano tam na brak miłosierdzia ekonomicznego amatorów pracy kulturalnej kosztem państwa. Istotnie zadziwiający jest brak skrupułów w tej robocie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

JESZCZE O JUGOSŁAWJI

ZBRODNIA marsylska zwróciła uwagę naszą na Jugosławję i jej konflikty wewnętrzne, tak ważne dla rozwoju stosunków politycznych, nietylko tego kraju, ale i całej Europy[1]). Sprawa Jugosławji i jej przyszłość nie może nam pozostać obojętna i nic dziwnego, że wiele się nią ostatniemi czasy u nas zajmowano. Prasa poświęciła konfliktowi serbsko-chorwackiemu wiele uwag, a w jej rozmaitych wynurzeniach widać jakby pewną kontrowersję dwu poglądów: pro-jugosłowiańskiego i pro-chorwackiego.

Właściwie nie jest to nawet kontrowersja, bo stanowisko jugosłowiańskie jest wspólne i sympatykom Chorwacji i sympatykom idei zmarłego króla, ale tylko różnica poglądów na sposób przeprowadzenia tej jedności i wartość dróg, wiodących do tego upragnionego celu. Za jednością Jugosławji są wszyscy w Polsce, bo inaczej być nie może; — obrona porządku traktatowego nie polega tylko na zwalczaniu rewizji, ale także na dążeniu do konsolidacji tych państw, którym na utrzymaniu traktatów zależy. Stąd też potrzeba konsolidacji Jugosławji i pomyślnego jej rozwoju; zresztą sympatycy Chorwatów muszą pamiętać o tem, że żadna z partyj chorwackich, wyjąwszy tylko odosobnioną, terrorystyczną grupę Pavelic'a, do rozbicia państwa nie dąży, trudno więc być tu gorliwszym od samych Chorwatów. Ale to wszystko nie pokrywa się wcale z pochwaleniem dotychczasowego sposobu tej wymarzonej konsolidacji, bo do ganienia polityki tragicznie zmarłego króla, niestety, jest aż nadto powodów.

Przedewszystkiem dotychczasowa jedność Jugosławji, to jedność masońska, a już sam ten fakt musi do niej niezbyt przychylnie usposabiać kato-

[1]) Dla uniknięcia możliwych nieporozumień wyjaśniam, że artykuł ten napisany był jeszcze przed utworzeniem się rządu Jewticza — mojem zdaniem jednak ten rząd nic w sytuacji chorwacko-serbskiej nie zmienia, skoro jest tak samo masoński, jak poprzedni i skoro po staremu gen. Żiwkowicz (najwięcej oskarżany o wszystko to, co anty-chorwackie i anty-katolickie) jest w nim jedną z najważniejszych osobistości. Uważam więc, że rząd ten to, mówiąc po naszemu, tylko — „bartlowanie".

lika i narodowca. Dziwną wydaje się możliwość, choćby przypadkowej, zbieżności interesów między tą organizacją bojującego Izraela, a Krzyżem i narodowością — poprostu „*timeo Danaos et dona ferentes*". A rzeczywiście ta jedność Jugosławji, jaką się teraz robi, to prawdziwy „dar Danaów", skoro polega ona na zaprzeczeniu tego, co jest najtrwalsze — narodu i prawa.

Pozornie wygląda to na paradoks, bo wbrew utartej formule masońskiej: tępić nacjonalizm narodów panujących, a rozpłomieniać nacjonalizm mniejszości — tu raczej popiera się nacjonalizm panujący, serbski, ściślej serbsko-jugosłowiański; a także zadbano i o prawo, uchwalając nową konstytucję i uchylając królewską dyktaturę. Niestety, to tylko pozory i „Nasz Przegląd", dowcipkując na temat: endecy chwalą w Jugosławji to, co zwalczają u nas — słusznie zestawił rząd regencji belgradzkiej z naszym, bo to twory z tej samej właściwie gliny.

Rząd zmarłego króla Aleksandra był pozanarodowy, abstrakcyjnie państwowo-jugosłowiański, centralistyczny i nie cofający się w zwalczaniu swoich przeciwników przed zgoła drastycznemi środkami. Na miejsce trzech narodów gospodarzy, postawiono w tej koncepcji nadnaród jugosłowiański, z praktyczną przewagą Serbów, bo ich jest dynastja i stolica. Tę drogę realizowania jedności jugosłowiańskiej skwapliwie podjęła masonerja, zaostrzając słuszną poniekąd myśl zasadniczą, bo dawała jej ona niewątpliwą korzyść, pognębiając Chorwatów, jedyny bastjon katolicyzmu na całym Bałkanie. To też jedność jugosłowiańską coraz bardziej pojmowano jako jedność przeciwchorwacką, a tem samem stosunki wewnętrzne coraz bardziej zaogniano, a nie łagodzono, osłabiabiając przez to państwo, zamiast je wzmacniać.

Z istoty bowiem Jugosławji wynika, że państwo to może się rozwijać jedynie na podstawie harmonijnego stosunku trzech składających je ludów. Troiste ze swojej natury, nie może być pojęte jako jednolita całość. Centralizm, gdzieindziej pożądany, tu jest zgubny, bo tu nie chodzi o żadne separatyzmy, ale istotne, głębokie odrębności, które przymus niwelacyjny tylko pogłębić jeszcze może, a nigdy usunąć. Tam, gdzie różnice są drobne, decentralizacja jest zgubna, bo te nikłe separatyzmy pielęgnuje i ożywia, ale tam, gdzie są silne przeciwieństwa, jest ona konieczna, bo licząc się z tem, co jest, stwarza właśnie dobre warunki do zgodnego współżycia. Centralizacja czegoś niejednolitego będzie zawsze próbą ujarzmienia innych odrębności przez jedną z nich, choćby nawet była pojęta jako poddanie wszystkich pod strychulec jakiejś jednej wyższej myśli, jak to ma miejsce właśnie w Jugosławji. Z drugiej strony, polityka państwowa, nie oparta o jakiś konkretny narodowy interes, zawsze będzie wisiała w próżni, a tem samem nieuchronnie doprowadzi do powstania mafji, czy kliki i będzie musiała szukać oparcia poza prawem. Tak się też stało w Jugosławji, gdzie nową konstytucję skonstruowano w taki sposób, że nic nie gwarantuje obywatelom — a regulamin wyborczy, dopuszczający przy lada okazji interwencję wojska, godnie ją uzupełnia.

To też do nowej skupczyny, zbojkotowanej przez wszystkie opozycyjne partje (nawet serbskie) po komedji wyborów weszła tylko partja rządowa, a żaden z trzech narodów Jugosławji nie ma swego prawdziwego przedstawicielstwa, a nawet mieć nie może, bo regulamin wymaga, by każda lista wyborcza była zgłoszona we wszystkich okręgach wyborczych — co uniemożliwia wystawianie list lokalnych, a takiemi byłyby listy chorwackie, czy inne. W świetle tego wszystkiego udział w obecnym rządzie czterech Chorwatów i jednego Słoweńca traci zupełnie na znaczeniu, bo nie świadczy wcale o usposobieniu tej ludności, ostatecznie i w naszym rządzie jest ksiądz Żongołłowicz, ale to nie znaczy, że cieszy się on sympatją wszystkich w Polsce katolików, wręcz przeciwnie, popierają go raczej wolnomyślni.

O ile jednak dla narodu serbskiego te stosunki nie są bynajmniej katastrofalne, bo pod jugosłowiańską myśl państwową może on łatwo podłożyć swoją i poniekąd też tak i jest, — to dla narodu chorwackiego polityka dotychczasowa stwarza prawdziwe, a zgoła nieprawdopodobne napozór nieszczęście niewoli w swojem własnem państwie. Takie poczucie niewoli i świadomość, że Jugosławja narazie nie jest jeszcze, niestety, ojczyzną Chorwatów, sprawia nietylko obłąkańczy, doktrynerski centralizm, ale także (i to nawet przedewszystkiem) atmosfera wschodnia rządów, ich duch bałkański, lekceważący prawo i to wszystko, do czego Chorwaci, naród *par excellence* zachodni, od wieków przywykli. Niewolą najgorszą nie jest zniesienie dawnej autonomji, ale to, że w obecnych warunkach kultura chorwacka nie może się rozwijać, bo prawo jest zamaskowaną swawolą władz, władze „państwowo - jugosłowiańskie" tępią chorwacki „separatyzm", a myśl prawdziwie zachodnia i katolicka nie jest mile widziana w Belgradzie. Zrozumieć to chyba nam łatwo, bo i my jesteśmy w troszeczkę podobnem położeniu i nas boli uwschodnianie polskiego życia, a jakżeż ta analogja jest powierzchowna, bo o ileż silniejszy jest zatarg jugosłowiański i o ileż zgubniejszy, podrywając swojem dłuższem trwaniem samo założenie ideologiczne państwa.

Nie zawaham się więc twierdzić, że jedność jugosłowiańska znalazła się na złej drodze, bo zła jest droga, która nie chce się liczyć z rzeczywistością. Odrębność narodowa Chorwatów jest rzeczywistością i każda istotna jedność jugosłowiańska musi się z nią liczyć. Ta odrębność jest nadto nieśmiertelna, bo ściśle związana z katolicyzmem, któremu naród Marulic'a i Križanic'a oddał niepoślednie usługi, a tem samem niezmiernie wartościowa dla naszej kultury. I dziś zatem, gdy prąd czasu niesie odrodzenie wszystkim katolickim narodom, trudno przypuszczać, że ten właśnie będzie przez ten prąd ominięty. Może go czeka ciężka walka, ale walka napewno zwycięska, podobnie jak przedtem „wyspa świętych", Irlandja, wygrała wiekową walkę z Anglją o byt swojej cywilizacji.

Ostateczną konkluzją więc będzie, że tak, jak wszędzie, tylko naród coś stanowi i na nim tylko można trwale budować. A więc Jugosławja ostoi się i rozrośnie, o ile oprze swój byt nie na fikcyjnym narodzie jugosławiańskim, bo takiego niema i bodajże nie będzie, ale na trzech prawdziwych: chorwackim, serbskim i słoweńskim, które istnieć zawsze będą, a jako pokrewne i czujące potrzebę łączności, chcą niezłomnie żyć w jednem państwie, ale każdy po swojemu.

KAROL STEFAN FRYCZ

ROLA ŻYDÓW W DZIEJACH POLSKI

EMIGRACJA POLSKA PO 1831 ROKU

Wobec tłumienia po r. 1831 życia narodowego w kraju, zdawałoby się, że emigracja nasza na Zachodzie Europy stanie się właściwym ośrodkiem polskości. Znaleźli się tam bowiem liczni członkowie rządu narodowego, wyżsi oficerowie i szereg innych, wybitnych ludzi: uczonych, literatów i poetów. Obok prawdziwych powstańców i gorących patrjotów, było tam jednak sporo włóczęgów i awanturników, przeważnie żydowskiego pochodzenia, należących do różnych organizacyj międzynarodowych. Nic więc dziwnego, że w krótkim czasie wybuchła wśród emigrantów niezgoda. Kwiat młodzieży polskiej, przebywającej na obczyźnie, padał stale ofiarą różnych robót podziemnych. Nikt nie zdołałby dziś pewnie obliczyć ogromu strat, poniesionych z tego powodu. Tysiące młodych talentów, które w innych warunkach byłyby się rozwinęły i wzięły udział w pracy nad pomnożeniem dobra powszechnego kraju, marniały w więzieniach i na Syberji.

Już w kilkanaście miesięcy po upadku powstania listopadowego rzucono setki ofiarnej młodzieży polskiej na pastwę wrogów. W r. 1833 nastąpiła nieszczęsna wyprawa Zaliwskiego, będąca dziełem węglarstwa. Najwyższy Namiot Karbonarów mniemał, że powstanie rewolucyjne w Polsce (do wybuchu miał się właśnie przyczynić Zaliwski) poruszy wszystkie ludy europejskie. Rachowano na zamieszki we Włoszech, na rewolucyjne poruszenie się narodu niemieckiego i zrewoltowanie paryskiej i ljońskiej ludności. Wszedł Zaliwski do wenty francuskiej Karbonarów i otrzymał patent, mianujący go dowódcą siły zbrojnej Europy północnej.

Wychodźcy polscy, którymi kierowała głęboka wiara, że równocześnie rozpocznie się w całej Europie rewolucja, wstępowali masowo do organizacyj węglarskich. Liczba ich we Francji wzrosła tak znacznie, że na początku 1833 r. założyli własny Namiot Narodowy, który znosił się bezpośrednio z Najwyższym Namiotem świata, przebywającym w Paryżu. Walnie przyczynił się do tego Tadeusz Krępowiecki. Z ramienia Najwyższego Namiotu, gdzie niepoślednią rolę odgrywał Wolff, powiernik i prawa ręka Mazziniego, zajął się Krępowiecki przygotowaniem dywersji Zaliwskiego, będącej czemś niespodziewanem dla całego kraju Dzięki niemu znaleźli się wśród emisarjuszów powstańczych neofici, jak to: Leopold Niemirowski, Szymański i inni. Na jedno z czołowych stanowisk został wyznaczony żyd, Edward Duński. Nic więc dziwnego, że jeden z ówczesnych pisarzy (Gisquet) podsuwa wyraźnie myśl, co potwierdza zresztą Janik w swojej pracy p. t. „Dzieje Polaków na Syberji" (str. 178), że wyjście z Francji emigrantów polskich w 1833 r., idących na jawną zgubę, nie odbyło się bez tajnego w tem udziału państw rozbiorczych. Przypuszczenie Gisqueta potwierdza obecność w najbliższem otoczeniu Zaliwskiego szpiega rosyjskiego, Szymańskiego, który przyczynił się, jak pisze Limanowski („Historja Demokracji Polskiej", t. II, str. 45) „do pomnożenia liczby ofiar wyprawy". Pozatem dziwnie zbiega się z tą katastrofą słynna mowa Krępowieckiego, wygłoszona 29 listopada 1832 r., kiedy wróżył on zagładę szlachcie polskiej, z której przedstawicieli składali się członkowie dywersji 1833 r.

Nieudanie się wyprawy polskiej wzbudziło w rewolucjonistach niezadowolenie z Namiotu Powszechnego w Paryżu. Oskarżano naczelną władzę węglarską, że wbrew głoszonej zasadzie równości ludów, dąży ona do scentralizowania Europy i chce przemienić wszystkie kraje w departamenty, rządzone z jednej stolicy, którąby pozostawał Paryż. Za poradą Wolffa została założona przez Mazziniego w 1834 r. „Młoda Europa", organizacja międzynarodowa, w której skład wchodziła m. in. „Młoda Polska". Kierownicy „Młodej Polski" znajdowali się pod specjalną opieką Czyńskiego i Lublinera. Wraz z Szymonem Konarskim wydawali oni w Paryżu czasopismo p. t. „Północ", w którem głosili jawnie, że rewolucja społeczna i równouprawnienie żydów w Polsce jest tego stowarzyszenia celem. Z polecenia Czyńskiego i Lublinera udał się Konarski do Krakowa, gdzie założył „Stowarzyszenie Ludu Polskiego". Jednym z najgorliwszych pomocników Konarskiego w kraju był neofita Adolf Leo.

Rozwijającego energiczną akcję na rzecz „Stow. Ludu Pol." Konarskiego ujęli Moskale w Wilnie. Właściciel winiarni żyd, Rosental, poznawszy z ogłoszonego przez policję rosyjską rysopisu i portretu polskiego działacza, który przybył do jego winiarni, celem zobaczenia się z zegarmistrzem Duchnowskim, dał znać Moskalom, umożliwiwszy w ten sposób policji pojmanie energicznego emisarjusza. Ujęcie Konarskiego i wykrycie „Stow. Ludu Pol." przyczyniło się do masowych aresztowań w Królestwie i na Rusi, które rozpoczęły się w 1836 r. Straty były ogromne. Wielu dzielnych ludzi pozbawiono wolności i zrujnowano materjalnie. Licznych patrjotów polskich zesłano na Sybir. Byli to przeważnie ludzie o wysokiem wykształceniu, dużej kulturze i wartości moralnej, elita ówczesnego społeczeństwa polskiego, zwłaszcza na Litwie i Rusi, skąd pochodziła największa ilość ofiar. Zamknięto akademję medyczną w Wilnie. Wojsko austrjackie zajmowało przez sześć lat Kraków, ograniczając wolność mieszkańców.

Tak wielkie ofiary, ponoszone przez społeczeństwo polskie na rzecz różnych organizacyj międzynarodowych, prowadzonych przez żydów chrzczonych i niechrzczonych, nie doprowadziły jednak do zgody między emigrantami. Do tego nie mógł dopuścić element neoficki, wciskający się wszędzie. Widzimy mechesów we wszystkich stowarzyszeniach polskich. Wśród członków Towarzystwa Demokratycznego odgrywają decydującą rolę tacy ludzie, jak: Czyński, Jakubowski, Majzner, Krępowiecki, Kwiatkowski, Kazimirski, Łaski, Beniowski, Behren, podający się za Pawłowskiego, Michałowski, Maciejowski, Lubliner, Paprocki, Rotwand i inni. Zwalczali oni zaciekle stronnictwo konserwatywne, w którego szeregach stykamy się znowu z przedstawicielami wpływowej rodziny Wołowskich, t. j. z byłym posłem Franciszkiem i ekonomistą Ludwikiem, o którym mawiał Adam Mickiewicz, że „ma on manję mówienia rzeczy, które zna się le-

piej od niego". Byli oni współzałożycielami Towarzystwa Literackiego, widomego organu obozu Czartoryskiego, gdzie rozwijali ożywioną działalność.

Dla warchołów neofickich, atakujących zaciekle t. zw. arystokratów w „Postępie" (organie sekcji centralnej Tow. Dem.), redagowanym przez Czyńskiego i w „Tygodniku Bezansońskim" (wydawca Majzner), wychodzącym w Besançon, było Towarzystwo Demokratyczne zbyt umiarkowane. Różnica poglądów zarysowała się w zapatrywaniu na kwestję urządzeń społecznych i na kwestję własności; doprowadziła ona w 1835 r. do rozłamu. Emigranci polscy w Portsmouth wystąpili zeń. Kierowani przez Krępowieckiego, który demagogją i uporem wysunął się na plan pierwszy, założyli ci prostaczkowie (byli to więźniowie twierdz Grudziądza i Fischau, przeważnie prości żołnierze) organizację o programie skrajnie radykalnym. Program ten opracowany i narzucony gromadzie przez Krępowieckiego zwracał się przeciwko szlachcie i Papieżowi. Czytamy tam, że „morze krwi na całym świecie rozgranicza szlachtę od ludu, więc wierzyć jej nie można... Lud polski zawsze walczył — szlachta polska bez wypoczynku zdradzała; lud polski bił się, szlachta składała broń... Precz już z serca litość, precz niewieście wahania. Wojowali mieczem, niechajże od miecza co do nogi wyginą. Niech kamień brukowy będzie ich chlebem powszechnym... Gdyby generałowie i panowie nie zdradzali, Polska byłaby wolna... Papież kłamstw i fałszu jest apostołem, ubogich i uciśnionych prześladowcą, ludów ciemiężcą, książąt i bogaczy podłym sługą, gorliwym popieraczem wszystkich gwałtów"... (Szpotański: „Początki polskiego socjalizmu", str. 20, 27, 32, 37, 38). Za to braci innego wyznania należało zapewnić (zdaniem Krępowieckiego), że oni, także synowie Polski, będą zaliczeni bez żadnych ograniczeń w poczet obywateli polskich.

Wieszali się neofici u boku Adama Mickiewicza. W otoczeniu jego widzimy: Saskiego, Orłowskiego, Czyńskiego, Jańskiego (który wszedł do stowarzyszenia saint-simonistów i odgrywał w niem czynną rolę), Rama (zagadkową osobistość), nazywanego przez Towiańskiego „apostołem chrześcijańskim dla Izraela", Armanda Lévy, pupila nadrabina Zadoka Kahna i innych. Niewiele jednak wskórali oni u wieszcza, który w swoich „Księgach Pielgrzymstwa" wyraził się był nader ujemnie o żydach, a Juljanowi Klaczce (którego perorowanie o przyszłym ustroju Polski znudziło go) dał do zrozumienia, ażeby więcej myślał o żydach, niż o Polakach. Nie mógł tego przebaczyć Mickiewiczowi Czyński, o którym pisze Hirszhorn („Historja żydów w Polsce", str. 141), że „nie poprzestając na propagandzie literackiej w drukach specjalnych i w prasie francuskiej, starał się on użyć doli emigrantów żydowskich, przybywających do Paryża", i rozpoczął podjazdową wojnę przeciwko twórcy „Pana Tadeusza".

Nie dawali też spokoju wychodźcom polskim szpiedzy rosyjscy, przeważnie żydowskiego pochodzenia. Biedacy, z których niejeden ciągnął w Paryżu wózek z jarzynami lub zapalał latarnie miejskie, byli stale pod obserwacją. Tak Behrens, wkręciwszy się do Tow. Dem., zgłosił gotowość udania się do kraju z misją propagandową. Usługi jego chętnie przyjęto, dając mu szereg adresów wybitniejszych działaczy polskich. Przyczyniło się to później do masowych aresztowań, zwłaszcza w Dreźnie. Emigrantów polskich, przebywających w Belgji, śledził frankista Szostakowski. Zdemaskowany, przebywał on w późniejszych latach w Szwajcarji pod przybranem nazwiskiem, w dalszym ciągu jako agent. Nie byli wolni od szpiegów nawet zesłańcy na Syberji. W słynnej tragedji omskiej (1837 r.),, zakończonej zamęczeniem na śmierć jedenastu patrjotów, którą pamiętnikarz Konstanty Wolicki nazywa „buntem, ukartowanym przez Moskali", rolę prowokatora odegrał m. in. neofita Krantz. Frankista Kasperski zdradził znów przed władzami rosyjskiemi plan ucieczki do Chin, który został opracowany w 1836 r. przez Wysockiego, przebywającego w katordze w Aleksandrowsku wraz z towarzyszami. Wysocki otrzymał wtenczas tysiąc kijów i został wysłany do najcięższej roboty w Akatui, gdzie przykuto go do taczki.

Wichrząc na emigracji, korzystali również neofici z każdej sposobności, by spiskować w kraju. Za poradą Krępowieckiego, który w jednej ze swoich mów podnosił czyny „nowych spartakusów" uczestników powstań chłopstwa kresowego w wieku XVII, wydali uchodźcy w Anglji szereg odezw i pism „do ludu polskiego na rodzinnej ziemi". Rozchodząc się po Europie docierały one do Polski, gdzie podniecały w ludzie nienawiść przeciwko ziemiaństwu i karmiły go hasłami, że „Lud Polski zawsze był odłączony od szlachty... morze krwi rozgranicza szlachtę od ludu... krew spadnie na głowy szlachty..." (Kucharzewski: „Od Białego Caratu do Czerwonego", t. II, str. 221).

Od r. 1841 intensywność akcji spiskowej w kraju stale wzrastała. Emisarjusze z emigracji rozszerzyli sieć konspiracyjną na całą Polskę, agitując wśród szlachty, którą zyskiwano sobie hasłami walki orężnej z najeźdźcą. Przygotowywane w ten sposób powstanie miało być skierowane przedewszystkiem przeciwko caratowi moskiewskiemu. Dowodem tego jest manifest Rządu Tymczasowego w Królestwie Kongresowem, z datą 22 lutego 1846 r., który ogłaszał, że „walka rozpoczęta w Poznańskiem, nie była skierowana przeciwko narodowi niemieckiemu, lecz przeciwko moskiewskiemu barbarzyńcy" (Limanowski: „Historja Demokracji Polskiej w epoce porozbiorowej", t. II, str. 168). Niedarmo bowiem na obchodzie listopadowym, urządzonym w 1848 r. w Paryżu przez Centralizację Tow. Dem. Pol., mówcy zaznaczali wyraźnie, że „Polsce przeznaczona jest misja zrewolucjonizowania Rosji" (Kucharzewski: „Od Białego Caratu do Czerwonego", t. II, str. 394), a Czyński w swej „Malowniczej Rosji" w „przeciwieństwie do szlacheckiej Polski kreślił jakąś idealną Rosję" (Limanowski: „Stanisław Worcell" str. 102).

Szczególnie smutnie zapisały się w dziejach Polski przygotowania do zbrojnego wystąpienia, czynione przez młodzież szlachecką w 1846 roku w Galicji. W tym czasie bowiem, gdy rabin Majzels i Maurycy Krzepicki wygłaszali w synagodze mowy, w których zachwycali się narodem polskim, współwyznawcy ich podburzali ciemny lud, szerząc wiadomości, że „szlachta zorganizowała spisek, mający dać hasło rzezi chłopów" (Limanowski: „Historja ruchu rewolucyjnego w Polsce w 1846 r.", str. 161). Dużo materjału o ustosunkowaniu się żydostwa do ówczesnego społeczeństwa polskiego podaje też memorjał Franciszka Trzeciaka, wręczony hr. Stadjonowi, gdzie czytamy, że „hajdamacy z tarnowskiego i jasiel-

skiego cyrkułu, powtarzając wśród rzezi baśń, iż cesarz zniósł dziesięcioro Boskich przykazań, powoływali się na różnych żydowskich agentów, stojących blisko urzędników" (Łoziński: „Szkice z historji Galicji w XIX wieku", str. 378).

Żydowscy prowokatorzy, wielce pomocni urzędnikom austrjackim w przygotowaniu rzezi szlachty polskiej, wiedzieli dobrze, co czynili. Mieli oni świadomość tego, że Galicja przepełniona była materjałem wybuchowym, którego eksplozja rabacyjna od Tarnowa zataczała coraz szersze kręgi. Krwawe wypadki ogarnąć mogły wschodnie okolice kraju, grunt bowiem był przygotowany. Niedarmo na parę lat przed nieszczęsnemi wypadkami 1846 r. zaczęły obiegać między chłopami pogłoski, szerzone przez karczmarzy żydowskich, o darowaniu pańszczyzny; od roku zaś ludność wiejska była nawet przekonana, że najwyższy dekret w tej sprawie już został wydany i dlatego tylko nie nastąpiło obwieszczenie, że dziedzice złośliwie ukrywają go. Pożar, ogarnąwszy Galicję, mógł się stąd przenieść w dalsze strony. W innych prowincjach Austrji, jak to w dwa lata później wykazały rozprawy parlamentu konstytucyjnego w Wiedniu, stosunki pańszczyźniane również nie były tak pomyślne, ażeby poddani nie wykazali chęci naśladowania chłopów galicyjskich.

Krwawa rzeź 1846 r. nie powstrzymała haniebnej działalności warchołów emigracyjnych. W „Demokracie Polskim", wychodzącym od 1852 r., zajmowano się przedewszystkiem „znaczeniem rewolucji socjalnej w Europie i w Polsce". Zagadnieniu temu pismo to poświęcało najwięcej miejsca. Nic więc dziwnego, że w chwili, gdy „Demokrata" zachwiał się z braku środków, znalazł się „młody Izraalita z czcionkami polskiemi, który przybył w tym czasie z Wrocławia i ugodził się z Centralizacją o drukowanie jej pisma" (Limanowski: „Historja Demokracji Polskiej", t. III, str. 8 — 9).

Głoszone w „Demokracie" hasła starano się wprowadzić w życie. W lipcu 1853 r., po wkroczeniu wojsk rosyjskich do księstw naddunajskich, Centralizacja londyńska wydała odezwę, wzywając Rosjan i Polaków do wspólnej walki z caratem. Starano się też ze strony organizacji spiskowej, która istniała na Rusi, wywołać ruch rewolucyjny wśród ludu. Około Wielkanocy 1855 r. rozeszły się między chłopami wieści, że car był zmuszony wydać manifest wolności. Działał tam głównie Rosental, były student uniwersytetu kijowskiego, który usiłował doprowadzić do rozruchów społecznych. Szlachta polska nie angażowała się jednak, wiedząc dobrze, że w razie wywieszenia polskich chorągwi, wkroczą Austrjacy i zgniotą powstańców.

STANISŁAW DIDIER

NIE U SIEBIE

CZYTELNIK wybaczy, że uwagę jego zajmę sprawą omal osobistą, nie moją jednak, ale sprawą p. Piotra Grzegorczyka, który na łamach „Myśli Narodowej", w jej zeszycie nr. 55 z dnia 30 grudnia r. z., w rozprawce p. t. „Słowo o asonansach" wystąpił z polemiką przeciw poglądom moim o rymach, wyrażonym w dwóch rozprawkach p. t. „Słowo o rymach" i „Skrzydła poezji", drukowanych tu w zeszytach nr. nr. 47 i 49 w dniach 4 i 18 listopada roku zeszłego.

Sprawę nazywam „omal osobistą", a to z powodu, że polemika p. Grzegorczyka niczego nowego do zagadnienia nie wnosi, wyraźnie natomiast ujawnia, że znakomity nasz biblofil znalazł się nie u siebie w dziedzinie estetyki i krytyki sztuk pięknych, co jest, oczywiście, sprawą jego osobistą. Słówkiem zaś „omal" zaznaczyć pragnę, że pozory naukowości w wywodach p. Grzegorczyka, jak również jego zachowanie się w polemice wykraczają poza granice jego osoby, a zatem tych i owych sprostowań publicznych wymagają.

Nie miałem zamiaru urażać przeciwnika mojego tem, że w obu rozprawkach nie wymieniałem jego nazwiska, nazywając go tylko ogólnie „obrońcą asonansów". Uczyniłem to przez grzeczność i z poszanowania postawy p. Grzegorczyka, który wtedy w dwóch ostatecznie wnioskujących i bezpośrednio kolejnych zdaniach swoich uznał asonanse: 1^0 za największą zdobycz formalną nowej poezji i 2^0 za rzecz, która o wartości poezji wcale nie rozstrzyga. Czy miałem prawo wymieniać nazwisko autora, który sam oblicze swoje zasłonił?

Jakkolwiek bez oblicza, zgromadził jednak wtedy p. G. pewną ilość argumentów na rzecz asonansów, z czego, w zaufaniu do rzetelności i wiedzy uczonego, w rozprawkach swoich skorzystałem. Teraz atoli, w swojem „Słowie o asonansach" szanowny mój przeciwnik sięga po własne argumenty, mające wrogi asonansom pogląd mój obalić. I tu oto zaczyna się pospolity dramat ludzi, którzy o danym przedmiocie zdania swojego nie posiadają, a jeśli posiadają, to go nie objawiają, a jeśli objawiają, to naraz dwa zdania wzajem przeciwne... Mówią tedy o wszystkiem pobocznem i pobliskiem, byle tylko nie o samym sporu przedmiocie.

Nie dziwi mnie zatem, że uczony nasz tak chętnie skręca do historji rymów, przypominając, że pośród pisarzów (z literatur obcych) jedni byli, lub są przeciwnikami rymów, a inni — zwolennikami. Ale co to ma do sprawy? Czy takie odkrycie, że romantycy stali w obronie rymów, przysparza lub ujmuje rymom dowodów ich wartości? Czy, jak to czyni nasz biblofil, samo wyliczenie nazwisk pisarzów polskich, którzy o rymach pisali, bodaj o jeden milimetr spór nasz naprzód posuwa? Ono tylko dużo miejsca zajmuje i stwarza pozór, że autor coś powiedział, gdy w gruncie rzeczy o przedmiocie sporu nie powiedział nic.

Zaznaczyć tu muszę, że to nie ja, lecz p. Grzegorczyk sam ściśle określił przedmiot sporu naszego, jako dotyczący wartości asonansów w poezji nowoczesnej. Przyczem (chociaż o tem mowy nie było), obaj milcząco uwagi swoje opieramy na poezji polskiej, co jest zastrzeżeniem ważnem, bowiem zagadnienie rymów z wielu stron zależy od właściwości danego języka. Ja w swojej polemice trzymam się lojalnie granic tematu, przez przeciwnika zakreślonych, bo nie mam zamiaru uchylać się od jawnego i stanowczego na sprawę poglądu. Natomiast przeciwnik mój, wbrew własnemu założeniu,

błąka się (w dorywczych, zresztą, i powierzchownych), nie tyle historycznych, ile biblofilskich wycieczkach krajowych i zagranicznych, które przedmiot sporu zaciemniają raczej, a nie rozjaśniają.

Księgozbiór, po którym podróżuje p. Grzegorczyk, drugą mu jeszcze daje, poważną przysługę: osłania go grubą warstwą autorytetów. Tak osłonięty, przeciwnik mój powiada zatem, że ja, „nieorjentujący się w tych sprawach, niesłusznie wyśmiewam tezę wyzwalania się z pod tyranji rymu", ponieważ to wyzwalanie się ma już dawną swoją tradycję, oraz takie a takie powagi w osobach: Klopstocków, Gottschedów, Jordanów, Holzów i wielu niewymienionych... Mój Boże! A gdyby tych poważnych panów nie było, to moje wyśmiewanie byłoby słuszne? Oto jaskrawy przykład, jak żadnej ceny dla naszego biblofila nie ma rzecz sama (teza lub antyteza), a o wszystkiem rozstrzyga mu dobre „orjentowanie się" w nazwiskach autorytetów.

Jak w swojej tezie, że „wzbiera coraz silniej wielki prąd wyzwalania świata z pęt schematyzmu", spóźnił się nasz uczony o lat sto w przybliżeniu (uczeni znani są z roztargnienia), tak teraz w swojej metodzie polemicznej spóźnił się do dysput mnisich, o lat tysiąc mniej więcej. Żeby zaś do trzech razy w sztuce spóźniania się zabłysnąć, spóźnia się raz jeszcze o inny lat tysiąc, gdy mówi, że niesłuszne jest moje zdanie, jakoby języki starożytne nie posiadały dosyć giętkości na rymy. Dlaczego niesłuszne? „Chociażby (-(mówi p. G.)-) dlatego, że właśnie z łacińskich hymnów kościelnych nauczyła się Europa rymować!" Przypuśćmy, że nie było odwrotnie, to w takim razie mały drobiazg różnicy w czasie! Nauczyła się nie od Greków i Rzymian, nie z ich czasów złotych, nie z ich epopei, dramatów i poematów, ale z utworów o tysiąc lat późniejszych, które pod żadnym względem do grecko-rzymskiej literatury starożytnej nie należą!

Nie znam tej poszczególnej sprawy monograficznej, a doraźne obecnie poszukiwania moje nie dały wyniku. Możeby nasz uczony biblofil zechciał bliżej, a nie tak „arbitralnie i wzgardliwie" sprawę rymów w łacińskich hymnach kościelnych omówić. Znalazłby się tu właśnie w swoim domu, u siebie i z istotną dla czytelników korzyścią. Bez względu jednak na to, czy hymny kościelne nauczyły Europę rymować, czy też odwrotnie — ludy Europy północnej wprowadziły rymy do hymnów łacińskich, jako motyw własnych swoich poezyj, to rymy tych hymnów stanowią tak drobny ułamek bezrymowej poezji, po łacinie i po grecku pisanej, że, jako wyjątek w regule, potwierdzają raczej moją tezę o niedostatecznej do rymowania giętkości języków starożytnych.

Pozostaje sprawa tych języków w epoce ich narodowej twórczości poetyckiej. Przeciwnik mój sam utrzymuje, że rymy w poezji greckiej i rzymskiej starożytności zdarzają się „wcale często", co w jego mglistem wysłowieniu oznacza, że rymy tam były wyjątkami. Ale nie mówi o tem, co chyba każdemu powinno być wiadome, że poezja starożytości grecko-rzymskiej z reguły jest nierymowana. Jakaż tedy była przyczyna braku rymów w dziełach najprzedniejszej poezji greckiej i łacińskiej? Ja utrzymuję, że przyczyną była niedostateczna giętkość obu języków starożytnych. Mój przeciwnik nazywa ten pogląd „nieścisłością", ale nie przeciwstawia mu ani argumentu żadnego, ani własnej tezy przeciwnej, a natomiast przemilcza wstydliwie i zasłania stałą bezrymowość poezji, o której mowa.

(Dok. nast.) STANISŁAW PIEŃKOWSKI

O REFORMIE POLONISTYKI

Artykuł Stefana Kołaczkowskiego na temat powyższy w I zesz. „Marchołta" wywołał ogromnie liczne echa w prasie oraz w życiu potocznem. Wszystko to świadczy dobitnie, jak był aktualny i potrzebny.

A jednak właściwie zawisł on w powietrzu i to z winy samego autora. Zapomniał on bowiem zahaczyć swój pomysł o konkretne tło studjów uniwersyteckich polonisty, t. zn. o praktyczne zastosowanie nabytej wiedzy w przyszłości.

Porozumiejmy się. Komu służą uniwersyteckie studja polonistyczne? (jak zresztą wszelkie inne na wydziałach humanistycznym i matematyczno-przyrodniczym). Rzecz jasna: jedynie i wyłącznie przyszłym nauczycielom szkół średnich.

Adepci czystej wiedzy stanowią śród studentów tak nieliczny odsetek (może 1 *pro-mille*), że w ogólnem regulowaniu kierunku studjów mogą właściwie nie być brani pod uwagę, tembardziej, że z istoty rzeczy sami wypracowują nawskroś indywidualne metody nabywania wiedzy, wchodząc w bezpośrednie relacje z profesorami najbliższych sobie dyscyplin i nie poddając się żadnym kanonom.

Te ostatnie tedy winny mieć na uwadze wyłącznie przyszłych nauczycieli szkół średnich.

I tu nasuwa się wniosek nieodparty. Sprawę reformy studjów polonistycznych na uniwersytetach należy ściśle połączyć z inną, jeszcze bardziej doniosłą i aktualną kwestją reformy szkół średnich, która już zaczęła wchodzić w życie.

Jeden zwłaszcza jej punkt posiada niezmierną tu doniosłość. Jest to pomysł dwuletniego liceum, będącego kopułą gimnazjum oraz naturalnem przejściem do uniwersytetu.

Pomysł ten uwydatnia i podkreśla różnicę pomiędzy nauczaniem różnych przedmiotów, w szczególności polonistyki, w klasach wyższych a niższych dotychczasowej szkoły średniej.

Otóż gdybyśmy wzięli ogólnie problem nauczania, musielibyśmy stwierdzić, że, pomimo najusilniejszych tendencyj do jego ujednolicenia, pozostają, ni mniej, ni więcej tylko cztery jego poziomy:

a) stopień pierwszy — to dzisiejsza szkoła powszechna, dla dzieci od lat 7 do 12 — 13;

b) stopień drugi — to obecne gimnazjum, dla dzieci od lat 12 — 13 do 16 — 17;

c) stopień trzeci — dotychczasowe gimnazjum wyższe, w przyszłości właśnie liceum, dla młodzieży w wieku lat 16 — 18

d) stopień czwarty — studja wyższe.

Zróżniczkowanie tych poziomów nauczania, tkwiące w samej istocie rzeczy i mające swą naturalną motywację w psychologji dziecka i młodzieńca, acz dotąd usilnie, tendencyjnie zacierane przez kierownicze i kontrolujące czynniki wychowawcze (t. zn. przez politykę ministerjum oraz przez kuratorja szkolne), dziś, dzięki reformie nauczania, uwypukla się tak widocznie, iż niepodobna się z niem nie liczyć. Zresztą każdy, kto miał do czynienia ze sprawą najbardziej w życiu konkretną, z duszą ucznia, i to na różnych poziomach, przekonać się musiał najdobitniej, jeśli nie jest skrępowany zgóry powziętą doktryną, że te cztery szczeble odcinają się tak wyraźnie, iż kształtują one w sposób swoisty także psychologję nauczycieli, którzy znowu winni być podzieleni na cztery zasadnicze typy, tak uzdolnień, jako też rutyny pedagogicznej.

Sądzę, że bardzo rzadko się zdarza, by nauczyciel sprawny na szczeblu pierwszym, w szkole powszechnej i to w niższych jej klasach, był równie odpowiedni na szczeblu drugim, w nauczaniu dzieci lat 14 — 16. I *vice-versa*, podkreślamy. Nie sądzę zaś, by wogóle możliwe było przeskakiwanie przez szczebel, t. zn., aby dobry nauczyciel szkoły powszechnej mógł dać sobie radę w wyższem gimnazjum, czyli w przyszłem liceum. Podobnież nauczyciel, przyzwyczajony do wyraźnej specjalizacji w dotychczasowych klasach 6, 7, czy 8-ej, chyba nigdy nie potrafi uczyć na stopniu elementarnym. Podobnie profesorowie wyższych uczelni, gdy wypadkowo znajdą się w szkole średniej, prawie zawsze są do niczego.

Z temi właściwościami uczniów i nauczycieli należy się liczyć, tak przy tworzeniu liceów i doborze w nich personelu nauczycielskiego, jakoteż przy kształceniu adeptów do stanu nauczycielskiego w uniwersytetach.

W szczególności obchodzi nas tu przyszły typ nauczyciela-polonisty.

Sądzę, że można i należy mówić o trzech dość wyraźnie zarysowujących się tu grupach: a) o grupie o wyraźnych skłonnościach i zamiłowaniach lingwistycznych; b) o grupie o analogicznych skłonnościach literackich, oraz c) o grupie pośredniej, bez wyraźnych zainteresowań.

Otóż jeśli zdamy sobie sprawę, że najprawdopodobniej powstaną licea (odpowiadające dzisiejszym 7 i 8-ej klasom gimnazjum) dwu tylko typów: a) matematyczno-przyrodnicze, przygotowujące młodzież do studjowania na wydziałach mat.-przyrodniczym, lekarskim, rolniczym i nakoniec w politechnikach; oraz b) licea humanistyczne, przysposabiające młodzież do studjów humanistycznych i prawnych — to, rzecz jasna, dla naszych celów, postawionych w tym artykule, należy zwrócić baczną uwagę na licea tego drugiego typu. Bo tu, ponad wszelką wątpliwość, zajmie poważne miejsce, o wiele snadź poważniejsze, niż w dzisiejszych dwu wyższych klasach gimnazjum, — nauczanie języka polskiego.

Czy właśnie języka polskiego? zapytajmy. Jeśli przypomnimy sobie, że w szkole dotychczasowej kurs metodyczny języka kończył się stale już w klasie V, że w wyższych klasach interesowano się już tylko gramatyką historyczną, a to jedynie w związku z odpowiednim materjałem historyczno-literackim; że dalej grupa przyszłych polonistów śród pupilów liceów będzie z istoty rzeczy nieliczna; że, przeciwnie, będą śród nich przeważać przyszli prawnicy — to chyba jest jasną rzeczą, że kurs polonistyki w liceach (typu humanistycznego) musi wyłącznie, lub prawie wyłącznie, obejmować naukę literatury, i to nietylko polskiej, ale też i obcej, o których absolwenci gimnazjów (t. zn. dotychczasowych sześciu klas) będą mieli bardzo słabe pojęcie, gdy tymczasem w języku będą się orjentować nie gorzej od tych, co dziś przechodzą z kl. VI do VII-ej.

O ten właśnie punkt należałoby zahaczyć reformę polonistyki w uniwersytetach.

Przedewszystkiem należy zapytać: kto będzie uczył polonistyki w liceach humanistycznych?

Sądzę, że w związku z tem, cośmy powiedzieli wyżej, odpowiedź nasuwa się sama przez się: ci nauczyciele, oraz adepci do stanu nauczycielskiego, którzy mają wyraźnie określone zamiłowanie do literatury. Kontyngent zaś ten winien się składać mniej więcej z 25% ogółu nauczycieli polonistów.

Z temi danemi należy się liczyć przy zbliżającej się, bodaj nieodpartej, reformie studjów polonistycznych uniwersyteckich: dla czwartej, mniej więcej, części słuchaczy-polonistów studja lingwistyczne mają bez porównania mniejsze znaczenie, niż studja literackie, tak pod względem zasadniczym, jak i praktycznym. W tym oto kierunku powinna pójść reforma.

Jak konkretnie ma ona wyglądać?

Jasna rzecz, że winna ona się oprzeć o gruntowne fachowe roztrząsania *sine ira et studio*. Nikt przecież nie myśli lekceważyć którejkolwiek dyscypliny. Mamy wszyscy na oku dwie jedynie sprawy: a) najpełniejsze zaspokojenie naturalnych aspiracyj poznawczych naszych pupilów w uniwersytetach, oraz b) najlepsze przysposobienie ich do nauczania w szkole średniej.

Sądzę, że zgrubsza schemat reformy powinien tak wyglądać:

Jeżeli dziś na studja uniwersyteckie każdy polonista zużytkowuje conajmniej cztery lata po trzy trymestry, to mniej więcej, wraz z seminarjami przesłuchuje on godzin $20 \times 12 = 240$. Otóż dziś tu niewątpliwie dominuje lingwistyka, która to supremacja dla studentów o aspiracjach przedewszystkiem literackich jest rzetelną męką, w znacznym stopniu nieproduktywną, jak to wymownie przedstawił Kołaczkowski. Tymczasem sądziłbym, że dyspozycja tych 240 godzin dla osób, poświęcających się przedewszystkiem literaturze, w przyszłości winnaby tak wyglądać:

a)	studjum literatury polskiej.	120 g.
b)	„ jęz. polskiego (i porównawcze).	30 „
c)	„ historji	30 „
d)	„ filozofji (pedag. psych.). . . .	30 „
e)	„ jęz. obcego (nowego lub staroż.)	30 „
	Razem godzin . .	240

Wychodzimy tedy z założenia, że — poza studjum literatury polskiej — inne cztery dyscypliny dla przyszłego nauczyciela-polonisty, uczącego w liceum humanistycznem, są jednakowo potrzebne, oraz, że wiedza lingwistyczna bynajmniej nad innemi nie powinna górować.

Tak więc reforma polonistyki w uniwersytetach musi być rozpatrywana w ścisłym związku z reformą szkoły średniej.

STANISŁAW CYWIŃSKI

NA WIDOWNI

Przygoda antropologa. — „Czas" w obronie tajemnicy... neofitów. — Zaufanie i jego nadużycie. — W czem leży istota sprawy. — Ignorancja czy wiedza?

DR. KAROL STOJANOWSKI, docent uniwersytetu poznańskiego, w swej cennej książce p. t. „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie", opowiada, ze wspomnień osobistych, nadzwyczaj charakterystyczne zdarzenie:

„Przeprowadzałem..."—pisze—„przed kilku laty w jednem z gimnazjów badania antropologiczne. W czasie tych badań zdarzył mi się po raz pierwszy zupełnie nieoczekiwany wypadek protestu przeciwko pomiarom. Młodzież oświadczyła, że badania obrażają jej poczucie wstydu i moralności z powodu rozbierania się do naga. Zdziwienie moje nie miało granic... W prawdzie młodzież nasza jest rzeczywiście religijną, ale nie wydawało mi się, aby to było istotną przyczyną protestu. Natychmiastowe, przyjacielskie śledztwo jednego z nauczycieli wykryło, że rewoltę zorganizował uczeń pochodzenia żydowskiego, który nie chciał dopuścić do tego, aby „wyszło" na skutek pomiarów jego istotne pochodzenie. Oczywiście, gdy sobie chłopcy uświadomili, że padli ofiarą mistyfikacji, badania odbyły się już bez żadnych dalszych nieporozumień"[1]).

Przypomniał mi się ten epizod, gdy w zachowawczym „Czasie" (nr. 2 z 2.I r. b.) czytałem, z dziwną irytacją pisany, artykuł na temat stosunku do „wychrztów", gdzie wytykanie żydowskiego pochodzenia neofitom określono—w niezrozumiałym ferworze—jako... „bluźnierstwo" (!). Wypadek bowiem, opisany przez dr. Stojanowskiego, ukazuje w sposób naoczny, jaki jest cel pamiętania o żydowskim rodowodzie nowochrzceńców, jaki jest sens publicznego zaznaczania tej przynależności, tak co do nich, jak i co do potomstwa ich z małżeństw mieszanych.

Poprostu, nikt nie lubi być oszukany, być — jak mówią Francuzi—*dupé*. Każdy pragnie rozumieć, o co chodzi, gniewa go, jeżeli padnie ofiarą swej naiwności. Chcemy mieć pewność, kto daną robotę podejmuje, żeby w ten sposób zorjentować się dokładniej w jej motywach.

Chwała Bogu, mogę publicystę „Czasu" pouczyć, iż w stanowisku takiem niema nic—z punktu widzenia teologji — zdrożnego: sakrament chrztu zmazuje grzech pierworodny, lecz nie... narodowość, i pośród skutków nadprzyrodzonych chrztu świętego katechizm rzymski nie wymienia bynajmniej... polonizacji. Praktycznie zaś uwidocznianie, kto jest nowochrzceńcem, ma dla normalizacji stosunków w Polsce niezwykle doniosłe znaczenie.

Naród bowiem—trzeba o tem zawsze pamiętać—jest związkiem duchowym, opartym przedewszystkiem na zaufaniu. Istotą wspólnoty narodowej jest właśnie przeświadczenie, że ludzie jednej krwi, jednych instynktów, w jednej tradycji wychowani, muszą, z natury swej, mieć dążenia w pewnym stopniu jednakowe, nigdy całkiem obce celom całości, gdy jej przecież będące wytworem i wyrazem. Stąd też owa ufność mimowiedna, z jaką wewnątrz narodu traktuje się poszczególne ideje, opinje, działania—poczucie bezpieczeństwa, wynikłe z wiary w podobieństwo wzajemne typu psychicznego i tożsamość najgłębszych umiłowań. Zwłaszcza dziś, przy tak przyśpieszonem tempie życia, gdy ustawicznie działają na nas rozmaite suggestje, poglądy, twierdzenia, gdy niema czasu na ich analizę i z konieczności tak wiele przyjmować się musi „na wiarę"— to zaufanie staje się najcenniejszą busolą, nieodzownym wprost warunkiem współżycia społecznego. Jakąż nieuczciwością jest nadużywanie tej ufności, ukrywanie, że się jest z obcych, narzucanie cudzych sposobów myślenia i odczuwania, przyjmowanych bez podejrzeń, jak od swoich! Jakże niezbędne stają się w tych warunkach: ciągła cenzura, nieustanne skrępowanie i kontrola, kiedy społeczność nieprzerwanie wystawiona jest na wpływy rozkładowe, kiedy bezwiednie ulegać może wszelakim prądom, bez tej rękojmi, iż bądź co bądź będą one czemś rodzimem, regulowanem wrodzonym instynktem i tradycją...

Coraz jaśniejsze jest, iż musimy się zdecydować, musimy dokonać wyboru. Albo pragniemy ład życia polskiego oprzeć na zasadach zaufania i swobody, a wtedy nieodzowne jest jaknajskrupulatniejsze wydzielenie żywiołu żydowskiego, jaknajściślejsze określenie, kto jest kim, kto kogo rodzi, ustalenie, w czyjem imieniu ktoś może występować i przemawiać. Albo pragniemy zachować pod tym względem dyskrecję, traktować jednakowo każdego „obywatela", ale też wówczas do każdego zgóry odnosić się podejrzliwie, nieustannie utrzymywać go pod nadzorem, cenzurować każdą jego myśl, nie dowierzać żadnej społecznej inicjatywie. Cały styl naszego życia zbiorowego zależy od tego, co tu wolimy...

Oczywiście, nie hańbi to nikogo, że jest „wychrztą", że ma w swoich żyłach krew żydowską. Hańbą mogłoby go okryć tylko, jeżeli oszukuje, jeśli ukrywa swe żydowskie pochodzenie i tym sposobem korzysta w społeczeństwie z tej ufności, jaką by go, w przeciwnym wypadku, nie darzono. Na tem właściwie ogranicza się cała kwestja i tutaj również znajduje się praktyczne jej rozwiązanie.

Zwłaszcza dla neofitów i potomków ich o drażliwszem sumieniu jest sprawą niesłychanie ważną nie wprowadzanie w błąd opinji publicznej co do swojej rzeczywistej parenteli. Wówczas naród może nawet korzystać z ich pracy, przyjmować to i owo z ich dorobku, ale czynić to już będzie świadomie, tak jak czerpie ze źródeł twórczości cudzej, a więc z wyborem, przystosowując do swoich warunków i potrzeb, rozróżniając, co mu będzie zdrowe, co szkodliwe. Wszak nawet przybywającym z ogniska epidemji wolno jest stykać się z ludźmi, ale powinni ostrzegać każdego zgóry, by przedsięwzięto konieczne środki ostrożności.

W całej dyskusji na temat „wychrztów" to jest przedewszystkiem zabawne, iż rzecz właściwie sprowadza się do tego, co wybrać: wiedzę czy ignorancję? My w tej rozprawie głosimy użyteczność wiedzy, wskazujemy, iż naród powinien mieć świadomość, jak rzeczy stoją, orjentować się, kto ma w żyłach swoich krew żydowską, kto zaś jej nie ma, byśmy nie padli ofiarą mistyfikacyj, jak opisani wyżej uczniowie gimnazjalni... Wskazujemy na potrzebę poznania prawdy, udostępnienia znajomości stanu faktycznego ogółowi, aby w ten sposób uchronić naród przed możliwością niebezpiecznych, szkodliwych zawsze błędów i nieporozumień. „Czas" ze swej strony prze-

---

[1]) Dr. Karol Stojanowski: „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie", Poznań 1934, nakładem „Głosu". Patrz str. 121.

ciwstawia tu ideał jedyny: nie studjować tych spraw, nie zajmować się niemi, a uzasadnień takiego stanowiska, usiłuje poszukiwać w... zasadach katolickich. Ale to już błąd bardzo przestarzały, że katolicyzm żąda wyrzeczenia się wiedzy, że jakoby krępuje on swobodę badań. I publicysta „Czasu", bez najmniejszej doprawdy szkody dla duszy, może porzucić, tak niepotrzebnie bronioną przez siebie zasadę... obskurantyzmu...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

DO BAŁAMUCTW, NAJSZERZEJ ROZPOWSZECHNIONYCH, należy powtarzane przez prasę różnych kierunków przypuszczenie, że rok 1934 był rokiem wyjątkowej aktywności polskiej polityki zagranicznej. W roku tym szereg doniosłych zdarzeń dał znać o zachodzących w sytuacji politycznej Europy zmianach, to prawda. W świetle wszystkich rozporządzalnych danych najprawdopodobniej jednak wygląda hypoteza, że zmiany te, pakty i układy bynajmniej nie były uwieńczeniem polskiej inicjatywy dyplomatycznej, że, przeciwnie, inicjatywa ta wyraźnie wyszła w tym wypadku od obcych. Rola Polski w gruncie rzeczy okazała się nie mniej bierna, niż lat poprzednich. Program wyczekującej bierności w stosunku do Niemiec był zresztą tezą oficjalną polskiej polityki zagranicznej. Zmieścił się wygodnie w lakonicznem oświadczeniu ministra Becka przed komisją sejmową o całokształcie zagadnień polityki zagranicznej, gdzie minister zapowiedział, że stosunek Polski do Niemiec będzie taki, jak Niemiec do nas. Cokolwiekbyśmy o tym programie powiedzieli, żadną miarą nie można w tem ostrożnem wyznaczeniu polityce polskiej roli wtórnej dopatrzyć się programu inicjatywy. Geneza zdarzeń wskazuje, że ze strony polskiej zapowiedzi dotrzymano. Ani w postawie czynników urzędowych, ani w głosach prasy półurzędowej nic w swoim czasie nie zwiastowało mającej niebawem nastąpić w stosunkach polsko-niemieckich poprawy. Jednostronne oczernianie Niemiec hitlerowskich stało się nawet do tego stopnia ulubioną specjalnością „Gazety Polskiej", że przez czas pewien pismo to odebrany miało debit w Rzeszy Niemieckiej... Niemniejszą też dla kół sanacyjnych niespodzianką była ewolucja, jaka ostatecznie dokonała się w stosunkach polsko-rosyjskich, w sensie umożliwienia ich dalszego pokojowego rozwoju. Były to niewątpliwie nagłe załamania linji oficjalnej polskiej polityki zagranicznej. Słusznie wprawdzie powitane zostały przez opinję, jako zmiany frontu, uzasadnione sytuacją i odpowiadające interesom Polski. Nas jednak obchodzi tu jedynie w tej chwili okoliczność, że ten rozwój zdarzeń był w każdym razie niespodzianką z punktu widzenia oficjalnych przewidywań naszej polityki, i że w istocie dokonał się wbrew jej ustalonym tradycjom. Zawarte z Niemcami i Rosją pakty nie harmonizowały z niedawnemi oświadczeniami kierowników polityki polskiej, harmonizowały natomiast o wiele lepiej z ujawnionemi zamiarami kierowników polityki rosyjskiej i niemieckiej, były przytem dla Niemiec i dla Rosji interesem przynajmniej w równym stopniu korzystnym, co dla Polski. Ponadto mamy także w tej mierze urzędowe wyjaśnienia, złożone przez Hitlera i Litwinowa już po zawarciu wspomnianych układów. Obaj ci politycy układy te przedstawili wtedy, jako wynik własnej przedsiębiorczości politycznej, własnej inicjatywy i samodzielnej oceny politycznego położenia. Gdyby ze strony polskiej złożone zostało jakiekolwiek oświadczenie urzędowe, zaprzeczające twierdzeniom kanclerza lub komisarza, albo oświetlające tę samą sprawę inaczej, możnaby wobec zachodzących sprzeczności genezę rzeczonych paktów uważać za niewyjaśnioną i wątpliwą. Ponieważ jednak sprzeczność taka nie zaszła, i urzędowi przedstawiciele polityki polskiej co do tej sprawy zachowali całkowite milczenie, należy dać wiarę publicznym oświadczeniom obcych mężów stanu, rozgadanie zaś publicystów o aktywności polityki polskiej w roku ubiegłym traktować tylko jako odgłosy miejscowej poczty pantoflowej. Rzeczywistą zasługą polityki polskiej było, że potrafiła w porę zaprzeczyć samej sobie i dzięki temu, aczkolwiek grając rolę wtórną, przyjąć z korzyścią dla siebie — i dla kontrahentów — ich oferty. Nie była to jednak „aktywność."

PISZĄC WYŻEJ O POCZCIE PANTOFLOWEJ, mamy na myśli stan rzeczy, jaki się wytworzył w stosunkach obecnych, gdy społeczeństwo pozostaje stale w całkowitej niepewności co do zamiarów rządu w polityce zagranicznej, i nie korzysta nawet z urzędowo-banalnych informacyj. Rolę zastępczych informatorów i rzeczników intencyj urzędowych biorą w tych warunkach na siebie publicyści, stojący blisko „czynników miarodajnych", i powtarzający rzeczy zasłyszane.

Wartość tej poczty pantoflowej uznają w pełni PAT i „Iskra", i najbardziej bezmyślni czytelnicy prasy sanacyjnej.

Społeczeństwo też powoli przywyka informować się w ten sposób z drugiej ręki, od „wtajemniczonych" sanatorów. Najśmieszniejszą w tem wszystkiem rzeczą jest to, że zarazem powszechnie znany jest fakt, iż politycy sanacyjni naogół nic nie wiedzą o polityce nawet własnego tylko obozu. Posłów sanacyjnych nikt nigdy nie zamęcza pytaniami, przyzwyczajono się oddawna do tego, że zazwyczaj są to ignoranci zupełni. To samo dotyczy wszelkich niższych stopni „elity". Ci są zbyt skromni, pocztę pantoflową organizują stopnie wyższe. Typowym przykładem wiadomości, przesyłanych taką pocztą, był artykuł noworoczny redaktora „Gazety Polskiej" B. Miedzińskiego, o polityce zagranicznej („Światła i cienie"). I niemniej typowy dla dzisiejszych stosunków jest też zachwyt i entuzjazm, z jakim lojalni publicyści podchwytują różne słowa i zwroty tych orędzi ministrów poczty pantoflowej. Niech to będzie dezyderat poprawy dzisiejszych stosunków polsko-francuskich, zręcznie sformułowany w słowach: „gdybyśmy... wyłożyli bez obsłonek kawę na ławę... znikłyby cienie"—z jakimż wnet spotka się to sformułowanie podziwem i uznaniem na łamach np. konserwatywnego „Czasu"! Jakby wszystkim nam dobrze było wiadomo, w jaki sposób można kawę na ławę wykładać z obsłonkami... i jakby ta zagadkowa dyplomatyczna technika nie kryła żadnych tajemnic dla publicystów „Czasu". Świetnym sposobem porozumiewania się jest ta półurzędowa poczta pantoflowa w kręgu lojalnych klwonów.

NAUKA i LITERATURA

DOWEJKO i DOMEJKO W INTEPRETACJI JANKIELA

NIEZAPOMNIANY motyw humoru mickiewiczowskiego, Domejko i Dowejko, przemawia do nas tem żywiej, że na każdym kroku spotykamy plątanie podobnych nazwisk, wynikłe z tego nieporozumienia i stąd najzabawniejsze momenty. Ale przyjemne łączy się tu z pożytecznem: to, co pewnych ludzi bawi, innym może oddać mniej, czy więcej konkretne przysługi.

Mauriac — Maurois, znane polskim czytelnikom nazwiska popularnych dziś powieściopisarzy francuskich, zwracają uwagę bliźniaczem niemal podobieństwem brzmienia. Nic dziwnego, że niewtajemniczony bliżej w arkana literatury francuskiej czytelnik często się tu myli. Nic dziwnego, że Maurois jest tu i ówdzie cytowany, jako pisarz katolicki dzisiejszej Francji. Nic dziwnego, że „ABC” drukuje w odcinku „Krąg rodzinny” Maurois, choć może raczej spodziewalibyśmy się tam przeczytać „Kłębowisko żmij” Mauriac'a... I skądże tyle nieporozumień? Przypadek, podobieństwo nazwisk, czy może nie przypadek?

Trudno tu kategorycznie rozstrzygać. Zważmy jednak, że Mauriac, wybitny pisarz katolicki, nosi nazwisko rodzinne, a Maurois do niedawna jeszcze pisał się skromniej, choć jaśniej w zabarwieniu uczuciowem, Hertzog. Podkreślanie tego ciekawego paralelizmu mógłby ktoś uznać za subjektywne mrzonki, za nazbyt stronną szykanę. Powołajmy się zatem na świadectwo osoby możliwie najbardziej bezstronnej, pani André Maurois. Zdarzył się oto taki wypadek, nawet we Francji, że umieszczono w prasie artykuł o André Maurois i zilustrowano go fotografją François Mauriac. Ubawiona tem żona pierwszego z pisarzy (powidzmy dla większej jasności: pani Hertzog) ułożyła *ad hoc* następujący wierszyk:

„Qui reconnaitre ici! Mauriac ou Maurois?
Le texte dit André, les traits disent François.
Qu'importe? ils ont prouvé, chacun à sa manière
Qu'un cercle de famille est un noeud de vipères”.

Wyzyskała tu pani Maurois tytuły dwu współcześnie i w tej samej firmie wydanych powieści (1932 u Grasset'a) — F. Mauriac: *„Le noeud de vipères”*, A. Maurois: *„Le cercle de famille”*. Wyzyskała, jakże znamiennie dla pewnej, mówiąc po niemiecku, rasy, korzystając z zamieszania, aby tem lepiej i dokładniej zdezorjentować czytelnika. Jest pewne podobieństwo między temi powieściami, prócz roku i firmy wydawniczej; obie opisują życie rodzinne. Jest także podobieństwo i w innych utworach obu pisarzy, obaj piszą np. t. zw. *„vies romancées”*: Mauriac-Pascala, Maurois-Disraeli'ego. Pozory słuszności splata dowcipny czterowiersz z zasadniczym fałszem. Stara i wypróbowana metoda: fałsz sam, jako zbyt przejrzysty, nie działa tak skutecznie. Fałszem, i to gwałtownym fałszem, jest położenie znaku równości między rodziną Mauriac'a i rodziną Maurois. Dla Mauriac'a „kłębowiskiem żmij” jest życie bez Boga; „krąg rodzinny” Maurois, urągowisko wszelkiej rodzinie, koncentruje się około bardzo poetycznej (oczywiście)... prostytutki. Na Boga niema tam miejsca i doskonale bez Niego wszyscy się obchodzą. Wprost przeciwnie: błędem jest szukanie Boga. Mówi nam to Hertzog-Maurois z marzycielską zadumą w *motto* do innej powieści, *„Climats”*. Nieszczęście w tem, że zawsze chcemy szukać wieczności gdzieindziej, niż tu... (*„Toujours nous voulons chercher l'éternel ailleurs qu'ici”*...). Że niema nic, poza tem życiem, nietrudno sobie dośpiewać.

Czy to naiwna spontaniczność podyktowała pani Maurois to fałszywe równanie, czy było to zdarzenie równie przypadkowe, jak przypadkowem jest podobieństwo nazwisk dwu autorów? Któż odgadnie. W każdym razie odróżnienie dokładne Mauriac'a — katolika i Maurois-Hertzoga obchodzi nas więcej, niż panią Maurois, nie powiemy zatem *„qu'importe?”*, ale na przyszłość będziemy się starali nie mieszać tych dwu nazwisk z sobą. M. M.

NARODZINY ANTYCHRYSTA

....

Najwierniejsi rycerze Marji
obcy herezji i schizmie
otwieramy dysputę główną
czy się ochrzcić dasz komunizmie?

....

BYĆ może, że właśnie w tym czterowierszu tkwi sens i rozwiązanie dziwnej książki[1]), którą mam od kilku miesięcy, a o której dopiero teraz piszę. Autor nazwał ją poematem-baśnią; z równem powodzeniem mógł był określić inaczej, naprzykład psychomontażem dziejowym, albo dramatem osobistym i każde określenie byłoby równie słuszne.

Zbyt dobrze znam i autora i środowisko, z którego wyszedł, więc mogę tę książkę zrozumieć. Najmłodsza wileńska szkoła poetycka, po szeregu przemian, doszła do fazy twórczości, w której największą rolę odgrywa podświadomość, a artyzm polega na współpracy twórcy i odbiorcy, autora i czytelnika. Autor daje kanwę, uczuciowo pobudza czytelnika, a ten sam sobie dopowiada, oczywiście to, co w nim podświadomie tkwi. „Przyjście wroga” w ręku komunisty i „Przyjście wroga” w ręku katolika — to zupełnie różne utwory.

Możnaby — zapewne — wykryć na tle obecnej sytuacji cywilizacyjnej, czemu istnieją tacy autorzy i powstają takie utwory, lecz byłoby to zbyt obszerne i ogólne; dla określenia omawianej książki wystarczy jedno stwierdzenie: autor nie wie, co się z nim i w nim dzieje, wszelkie próby logicznego sformułowania zawodzą — pozostaje czucie i podświadomość.

Zawrotne tempo przesuwających się faktów (faktów materjalnych i idej-faktów) przytłacza — autor jest anteną, chwytającą fale, napływające z różnych stron, porwane strzępy, mieszające się i zlewające w kakofonję, którą nazywa współczesnością.

Obrazy, chociaż porwane, są jednakowoż często wyraźne i mocne. Biorąc każdy poszczególnie, nawet zbyt mocne — wprost krzykliwe i ordynarne. Rytmika silna, dźwięczna, choć zmienna i rwana. Rym bardzo bogaty — od pełnego, poprzez rym wewnętrzny, do asonansu i aliteracji. Na potwierdzenie jeszcze jedna próbka:

....

„Spróbuj zostać zwykłym człowiekiem,
przestań przedrzeźniać Chrystusa,
oto idę do ciebie przez wieki
najsilniejsza z wszystkich pokusa.”

....

I jeszcze jedna:

„...Szóstego dnia Pan Bóg zniszczył człowieka. Zaczął przemawiać prozą. Najpierw powiadomił go przez swojego policjanta, imieniem Ręka, o tem, że ukazał się odwrócony krzyż na niebie. Pisały o tem gazety w mieście Wilnie.

(Wilno, ze względu na wielką ilość żydów w niem zamieszkałych, leży nad rzeką, która w niczem nie ustępuje Jordanowi).

Potem w innem mieście żydowskiem, Warszawie, pokazał mu odwrócony trójkąt i objaśnił, którędy prowadzą

---

[1]) Jerzy Zagórski: „Przyjście wroga”, poemat-baśń, Warszawa, 1934.

ich drogi. Następnie odkrył znikomość wszystkich swoich dzieł i wysiłków, które nazywamy artyzmem..."

Tyle pokrótce da się powiedzieć o utworze, którego tematem jest przyjście na świat Antychrysta.

Rym i rytm, pomięszany z prozą, której styl jest pośredni pomiędzy komunikatami PAT-a i apokalipltycznemi proroctwami:

„...Sztab i kontrwywiad były pouczone inaczej. Że Antychrysta nie można uśmiercać, ale trzeba go dostarczyć żywcem. Że Antychryst to wspaniała, żywa, prawdziwa legenda, lepsza od legendy Żyżki i Żwirki..."

W każdym razie zastanawiający jest zwrot wszelkich kierunków ku tematom religijnym. K. H.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Państwowa nagroda literacka za rok bieżący przyznana została Kazimierze Iłłakowiczównie. Z najgorętszą radością donosimy o tem odznaczeniu znakomitej poetki, którą „Myśl Narodowa" ma zaszczyt zaliczać do grona swoich współpracowniczek.

Według orzeczenia *jury*, nagrodę państwową otrzymuje autorka „Popiołu i pereł" oraz „Ballad bohaterskich" za „bogatą oryginalność jej twórczośc' lirycznej, bogatą skalę motywów jej twórczości oraz wydatne wzbogacenie form metrycznych".

Przed kilku laty Kazimiera Iłłakowiczówna odznaczona została nagrodą literacką m. Wilna.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Prof. Uniw. Lwowskiego dr. Przemysław Dąbkowski wydał bardzo ładną monografję p. t. „Oswald Balzer. Życie i dzieła". (1858 — 1933). (Lwów 1934 — Tow. Naukowe we Lwowie. Str. 236 i portret).

W pracy tej prof. Dąbkowski złożył hołd swemu mistrzowi, jako jego uczeń, przyjaciel i następca, a jednocześnie wystawił szlachetnej budowy pomnik na grobie wielkiego uczonego, zasłużonego pedagoga i niepospolitej miary obywatela. Z grobu tego bije światłość. Umiał ją pokazać i rozjarzyć tchnieniem swej miłości autor monografji. Rzeczowo, metodą ścisłego dokumentowania, bez ornamentu frazeologicznego wzniósł ten swój pomnik, jak stawia się sarkofag, którego największą ozdobą jest imię na nim wypisane. Znajdujemy w tej książce od daty urodzin (w Chodorowie, Małopolska Wschodnia) do pogrzebu zwięzły opis życia śp. Oswalda Balzera: ród, wychowanie, szkoły, wszystkie rodzaje zamiłowań i zajęć, studja naukowe, plony, zasługi, charakterystyka życia prywatnego, oraz duszy wzniosłej, twórczej, bohaterskiej w pracy, ludzi miłującej, patrjotycznej. O pracy tej niezmiernie interesującej i budującej pięknie okazanym wzorem, pragniemy dać obszerniejszy artykuł. Na razie niech ta wzmianka zachęci do czytania pięknej książki prof. Dąbkowskiego.

*

Były ambasador w Waszyngtonie, p. Tytus Filipowicz, wydał ostatnio broszurę pod intrygującym tytułem: „Czy Polsce jest potrzebna gospodarka planowa?" (Gebethner i Wolff, cena 1 zł.); znając autora i szkołę socjalistyczną, przez jaką przeszedł, łatwo domyśleć się, jaka odpowiedź wypada na to ciekawe pytanie, coraz bardziej widać frapujące głowy w zakłopotanym sanacyjnym obozie. Czy rady p. Filipowicza będą tam wysłuchane, nie wiemy, ale w każdym razie trzeba przyznać, że bardzo dużo z nich jest słusznych i w zastosowaniu dałyby całkiem niezłe rezultaty.

Narodowiec, szukający swego *credo* gospodarczego w książkach Dmowskiego i Rybarskiego, albo ostatnio Doboszyńskiego, z przyjemnością przeczyta i tę książeczkę; spodoba mu się zwłaszcza trafnie postawiona djagnoza kryzysu (czysto ekonomiczna) i całkiem słuszna, a nie lękająca się ostrych słów krytyka idjotycznej polityki „przetrwania" — z przyjemnością przeczyta też takie np. zdanie: „Kryzys u nas można pohamować tylko środkami, odpowiadającemi warunkom polskim", (str. 27), albo jakby powtórzone za prof. Rybarskim i całkiem zgodne z Dmowskim twierdzenie, że żyjemy dziś w epoce nowego merkantylizmu i że „zwyciężą te państwa, które znajdą u siebie nowych Colbertów,... organizujących wszystkie siły kraju w harmonijny aparat walki o dodatni bilans płatniczy" (str. 62)—ale cały szkopuł w tem, że zachwalana przez autora planowość już się takiemu „endeckiemu" czytelnikowi nie spodoba, bo jego ideałem jest gospodarka tylko dozorowana, a dozorowana przedewszystkiem przez organizacje społeczne, nie zaś przez państwo.

Rady i środki, stojące niejako poza tym systemem, jak odrzucenie zasady wzajemności w naszych traktatach handlowych, dalej chęć oparcia życia gospodarczego przedewszystkiem na rynku wewnętrznym, dążność do urozmaicenia produkcji rolnej są, powiedziałbym, całkiem zgodne z narodowym punktem widzenia w tych sprawach, bo są całkiem zgodne z prostym interesem państwa, ale duch gospodarki p. Filipowicza, z jej różnolitą machiną biurokratyczną (w jego książce co krok natykamy się na wyrażenia: „należy utworzyć urząd... powołać komisję... dać rządowi prawo" etc.) i nieograniczonem wprost wścibstwem państwa, jest znowu całkiem idei narodowej obcy, bo jakiś bizantyńsko-marksistowski, zapatrzony w Sowiety. Wprawdzie autor przewiduje ten zarzut i dlatego oświadcza, że „sprawą jedynie istotną jest, czy gospodarka planowa jest Polsce potrzebna, czy niepotrzebna, bynajmniej zaś nie to, gdzie przyszła na świat" (str. 60),—ale my na to odpowiemy, że Polsce potrzebna jest tylko świadoma, a na katolickich zasadach oparta — gospodarka narodowa. (K. S. F.)

*

Praca Zygmunta Mocarskiego „Książka w Toruniu do roku 1793" (Toruń 1934) zawiera bardzo obfity i szczegółowo podany materjał źródłowy do dziejów książki w tak ważnem ognisku kulturalnem dawnej Polski, jakiem był Toruń. Z ogólnego punktu widzenia książka ta jest o tyle interesująca, iż na podstawie dziejów książki w Toruniu nie udałoby się Niemcom ukuć argumentu na niemieckością Torunia. Specjaliści i bibljofile znajdą w tej pracy wiele cennego materjału, zebranego z drobiazgową dokładnością. Wielka ilość odnośników, podających źródła, świadczy o sumienności autora. Staranna szata zewnętrzna i obfity materjał ilustracyjny sprawiają, iż i pod względem estetycznym książka ta zadowoli bibljofilów. (J. GR.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Czytelnik francuski, dzięki P. Francastel, profesorowi warszawskiego *Institut Français*, posiada nareszcie dobrą książkę, dającą mu możność poznania malowniczej strony Polski. Książka nosi tytuł: „*Pologne pittoresque*" i jest wynikiem wycieczek autora po kraju naszym, którego niezwykle urozmaicone piękno krajobrazowe, widoki miast główniejszych, napotykane w drodze zabytki architektury, dzieła sztuki etc., zostały omówione ze znawstwem, serdecznie odczute i z wdziękiem opisane. Książka została ozdobiona licznemi (235) i doskonale wykonanemi heljograwiurami. Zasługa w tem autora i firmy wydawniczej: „*Editions Arthaud*". (W. J.)

*

Maurycy Larrouy, powieściopisarz i podróżnik, napisał ostatnio książkę: „*Eaux glacées*", w której spowiada się ze swoich wrażeń, doznanych w Mandżurji, Japonji, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Pierwszorzędny obserwator wytworzonych po wojnie stosunków na Dalekim Wschodzie, autor rzuca na żywotne jego zagadnienia światło niedwuznaczne. Przeludnienie Japonji, a stąd jej głód — oto fakty brutalne, panujące nad całem niepokojącem zagadnieniem Pacyfiku. Znalazłszy ujście dla swego nadmiaru ludności w Mandżurji, Japonja dzisiaj znowu, jak przed trzydziestu laty, spotkała się tu, oko w oko, ze swoim przeciwnikiem: Rosją, tym razem Sowiecką: stąd konflikt nieunikniony, którego końca trudno przewidzieć. Z opisów mandżurskich, zawartych w książce, odznacza się niezwykłą plastyką i malowniczością opis Charbina, tego miasta, które rosło po wojnie jak na drożdżach, a stało się schroniskiem wszelkiego rodzaju awanturników i zbrodniarzy, rozbitków i nędzników. Stany Zjednoczone mało imponują podróżnikowi, sprawiają bowiem na nim wrażenie braku równowagi oraz chaosu, a naród amerykański narodu, któremu daleko jeszcze do dojrzałości. Nie do niego więc ma iść stara Europa na naukę; jeśli gdzie ma iść po to, to raczej do Kanady, zwłaszcza do Kanady francuskiej, której coraz większe znaczenie w życiu tej wielkiej kolonji angielskiej, autor wciąż podkreśla. Książka bardzo pouczająca i pięknie napisana. (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

DRZEWORYT SKOCZYLASA

ISTNIEJE u nas pewna grupa artystów, która powiada: „ogniskiem największej kultury malarskiej jest Paryż, więc dobrze robi ten, kto tam się zwraca po naukę i wzór. Nasza kultura jest jeszcze b. młoda, nic więc nie mamy do gadania wobec argumentów tamtej, o takich tradycjach".

Rozumowanie podobne wydaje się mieć wszelkie pozory słuszności, to też wyobraźmy sobie, że Władysław Skoczylas, stając u progu swej twórczości drzeworytniczej, mógłby z równem powodzeniem oprzeć się na podobnej argumentacji. Tembardziej, że polski drzeworyt artystyczny w owych czasach właściwie nie istniał, tak, iż trudno byłoby wogóle mówić o jakiejkolwiek jego kulturze. Nie pozostawało przeto, w myśl powyższego rozumowania, nic innego, jak tylko rozglądać się, który z narodów ma najwyższą kulturę drzeworytniczą i uszczknąwszy z cudzego drzewa sztuki gałązkę, przeszczepić ją na grunt rodzimy. Innej rady chyba nie było.

Tymczasem Skoczylas postąpił zupełnie inaczej. Zwrócił się ku ojczystej sztuce i ksylografji ludowej, badał prawa, któremi się kierowała w swem kształtowaniu, wnikał w jej ducha i charakter. Rozumiał ciągłość kulturalną w ten sposób, iżby sztuka jego mogła wskazać na przodków tu zrodzonych. Takiej więzi szukał i taką wspólnotę chciał uwydatnić. Czyżby to było takie „zaściankowe"? Zważmy na rezultaty.

Rezultatem sztuki z tej gleby wyrosłej, wynikiem jej oddziaływania stał się wspaniały rozkwit polskiego drzeworytu współczesnego, powstanie naszej szkoły drzeworytniczej. I o dziwo! drzeworyt nasz, legitymujący się, pośrednio, tak „zaściankowym" przodkiem, wykazuje najbardziej współczesne, nowe, świeże i śmiałe ujęcie podejmowanych zadań, w zestawieniu z drzeworytnictwem wielu starych narodów Europy. Można było stwierdzić np. na międzynarodowej wystawie drzeworytów w Warszawie, iż naturalistyczne ujęcie tematu, od którego jakże dalecy są wybitniejsi graficy polscy, jest wciąż jeszcze aktualne w wielu krajach.

Jednocześnie sztuka naszych mentorów, którzy się uważają za jedynie powołanych do przeprowadzenia edukacji „ciemnych" rodaków, jest traktowana na wystawach polskich zagranicą jako któraś tam woda po kisielu paryskim. Każdy woli to samo w oryginalnem wydaniu. A w kraju, nawet sympatyzująca z nimi krytyka musiała przyznać, że ci, gromiący nas za opieszałość w podążaniu za Europą, sami nieco się spóźniają, hołdując kierunkowi już poniekąd... muzealnemu. Tak tedy niezawsze w cudzej kulturze zbawienie.

Osoba Skoczylasa, jak każdego prawdziwego twórcy, nasuwa tematy do wielu różnorodnych rozważań. Nas, w tym wypadku, interesuje przewszystkiem jedno: z jego śmiercią zeszedł do grobu nietylko wielki artysta, lecz i plastyk, którego sztuka miała rdzennie polskie znamiona. Tej polskości jego rycin nikt nie przeczy, a wszyscy ją chyba żywo odczuwają. Gdy na podstawie tego odczucia zechcemy określić znamiona odrębności narodowej drzeworytów Skoczylasa, nie będzie to tak łatwe; ale rzecz warta zachodu, bo artystów takich coraz mniej mamy. Należy unikać określeń, które zbyt usłużnie nasuwają się pod rękę, bo one są przeważnie zdawkowe i w taką formułkę da się niejednego wpisać, także i obcego artystę. A więc, gdy użyjemy słów: tężyzna, bujność, siła, to mogą to być również cechy malarstwa rosyjskiego np., może raczej słowiańskie, niż wyłącznie polskie.

Wiele dzieł plastyki polskiej znamionuje wyraźna nuta liryzmu, wyraz pewnego sentymentu (nie sentymentalizmu); dzieł takich twórców, którzy jednocześnie, lub w pewnych okresach twórczości, zdobywali się na ton zupełnie inny (np. „Kazimierz Wielki" i główki dziecięce — Wyspiańskiego, dwa okresy: żywiołowy i liryczny — Chełmońskiego, a nawet „rozhukanie" Stryjeńskiej i zarazem liryzm jej ilustracyj do „Trenów" Kochanowskiego i t. d.). Otóż ta j e d n o c z e s n a p o d a t n o ś ć psychiki artystycznej dla tych obu tonów wydaje mi się cechą już bardziej wyłącznie polską.

Ale Skoczylas w swej lirze struny sentymentu nie miał. Jego Matki Boskie mają oblicza surowe i smutne. Matka nie patrzy wcale z wyrazem tkliwości na dziecko. Natomiast cechuje ryciny Skoczylasa niewątpliwy nastrój religijny. Ład, porządek, jakiemu poddaje rytownik ich układ, nadaje kompozycji piętno pewnego dostojeństwa. Ludzie tu czynią swe rzeczy, jakby sprawiali jakiś obrządek. To nie są ruchy dla wykonania określonych czynności, lecz gesty, potrzebne dla sensu kompozycyjnego. Ten sens, któremu się wszystko podporządkowało, znaczy wiele rycin piętnem pewnej beznamiętności, mimo iż ludzie tu wyobrażeni powinniby raczej ulegać pragnieniom i żądzom najbardziej gwałtownym.

Nie będziemy także upatrywali odrębności narodowej artysty już w samym wyborze tematu rycin. Raczej w ujęciu tematu. Bowiem ten nowator, artysta nawskroś współczesny, twórca nowych form wypowiedzi, był bodaj w równej mierze tradycjonalistą. Tyle samo zmienił, co i zachował. Zmienił prymitywny rysunek drzeworytu ludowego na budowę kształtu, konstrukcyjną i syntetyczną, zachował jasność układu, lapidarność i zwięzłość. Nie pozbył się dekoracyjności.

Bezwątpienia, również umiłowanie gorące wszystkiego, co nasze: góralskiej legendy, polskiego pejzażu i architektury zostawiło swój ślad w drzeworytach Skoczylasa; ten sam temat, rozumiany przez kogo innego jako suma kształtów, o takiej, lub o innej wartości, jedynie plastycznej, zostałby w odtworzeniu pozbawiony napewno tej pieczy uczucia, nietylko artystycznego.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

FILHARMONJA. — Ani *Divertimento rustico* Sabina Dragoi, oparte na motywach ludowych, ani pełna pretensjonalnego patosu II-ga rapsodja Jerzego Enescu, nie ukazały w imponującem świetle rumuńskiej muzyki symfonicznej, a przecież mieliśmy w piątek do czynienia z nazwiskami dla niej reprezentatywnemi. Zwłaszcza Enescu, uczeń Hellmesbergera w Wiedniu i Masseneta w Paryżu. Jego to imię jest nierozerwalnie związane z każdym niemal przejawem ruchu muzycznego naszych południowych sąsiadów, w jego, oprócz Dymitra Kiriaca, rękach spoczywała inicjatywa przy budo-

wie kultury muzycznej narodu rumuńskiego, on też położył dla niej rzeczywiście zasługi ogromne. A trzeba było zaczynać przecież dosłownie od podstaw. Dzisiaj podobno Towarzystwo kompozytorów liczy pięciuset członków... W piątek słyszałem tylko dwóch. Przyznam się, że zestawienie to poczyna mnie na serjo niepokoić...

Jan Perlea, młody dyrygent, robi dobre wrażenie. Przypomnijmy sobie świetnego Georgescu. Widocznie lepiej jest tam ze sztuką odtwórczą, aniżeli z inwencją twórczą. Perlea, odrobiwszy obowiązek pokazania swoich bliskich, zupełnie dobrze poradził sobie z bogactwem dźwiękowem „Don Juana" Straussa, jakoteż z akompanjamentem koncertu fortepianowego Schumanna.

Gorzej wypadła partja fortepianowa w wykonaniu Lazara Lévy. Najdoskonalsza nawet poprawność nie wystarcza; odtworzenie to jednak zupełnie co innego.

Przypadkowo wpadł mi w ręce numer „Expressu". Czytam w nim nagłówek: „Mistrz Unińskiego, prof. Lévy w Filharmonji". Uniński dostał na ostatnim konkursie chopinowskim w Warszawie specjalną nagrodę za mazurki. Lévy nad program grał także mazurka. Ani rusz nie mogłem sukcesu ucznia związać ze sposobem interpretacji mistrza... Coś się nie składa. W. NARUSZ

CZY WIESZ, ŻE...

...od rozbiorów ludność Polski wzrosła 3-krotnie, ludność żydowska w Polsce — siedmiokrotnie?

...od rozbiorów ludność Warszawy wzrosła 20-krotnie ludność żydowska w Warszawie — 66-krotnie?

...Polska jest największem zbiorowiskiem żydów na świecie (4 milj.). Następne skolei państwo, ZSRR, ma, mimo pięciokrotnie większej ludności, 2,8 milj. żydów. Trzeciem państwem są, czterokrotnie od Polski liczniejsze, Stany Zjednoczone, liczące 2 milj. żydów.

...w Polsce jest 8 razy więcej żydów, niż w Niemczech, 30 razy więcej, niż we Francji, 45 razy więcej, niż w Palestynie, 114 razy więcej, niż w Italji?

...w Polsce mieszka 25% wszystkich żydów na świecie. W Warszawie 2,5%, a w Palestynie tylko 0,5%?

...gdyby żydzi byli wszędzie rozproszeni równomiernie, wówczas w każdem państwie stanowiliby zaledwie 0,7% ludności. Jednak w państwie polskiem jest ich 17 razy więcej, bo 12%?

...Polska ma największy odsetek żydów na świecie (12%), większy nawet, niż Palestyna (11,1%)?

...miastem, liczącem najwięcej żydów, jest ośmiokrotnie od Warszawy liczniejszy Nowy Jork. Ma on 1.330 tys. żydów, co stanowi 20% jego ludności. Drugie miejsce zajmuje Warszawa: 400 tys. żydów (33%). Piąte — Łódź: 204 tys. (34,5%)?

...na 17 województw tylko 8 ma poniżej 10% żydów. 4 województwa mają 10 — 12% (stanisławowskie 10,7%, wołyńskie 11,5%, lwowskie 11,5%, kieleckie 11,9%). 4 województwa mają od 12 do 15% żydów (poleskie 12,6%, lubelskie 13,2%, łódzkie 14,5%, białostockie 14,8%), a jedno — miasto Warszawa — 33%?

...z 11 wielkich miast polskich, liczących powyżej 100 tys. mieszkańców, tylko 4 mają poniżej 10% żydów (Poznań, Katowice, Bydgoszcz, Sosnowiec). 2 miasta mają od 20 do 30% (Lwów 27%, Częstochowa 25%), a 4 wielkie miasta mają powyżej 30% ludności żydowskiej (Warszawa 33%, Łódź 34,5%, Wilno 36%, Lubin 36%)?

...w Warszawie jest 3 razy więcej żydów, niż w całej Francji, 4.5 raza więcej, niż w Palestynie, 11 razy więcej, niż w Italji?

...w Łodzi jest przeszło 1½ raza więcej żydów, niż we Francji, 2½ raza więcej, niż w Palestynie, 6 razy więcej, niż w Italji, 50 razy więcej, niż w Hiszpanji?

...we Lwowie jest tylu żydów, co w Palestynie, przeszło 2 razy więcej, niż w Italji, przeszło 20 razy więcej, niż w Hiszpanji?

...W Polsce jest 9 miast średnich, posiadających bezwzględną większość żydów (powyżej 50%): Białystok, Chełm, Grodno, Brześć n/B, Kowel, Będzin, Łuck, Równe, Pińsk (ten ostatni najwięcej, bo 74,5%).

...W Polsce jest niemal 50 miast małych, posiadających powyżej ⅔ ludności żydowskiej.

NOWE KSIĄŻKI

Krywoszejew Maciej. Ustrój teatrów w Polsce. Ich samostarczalność, 1765 — 1934. Warsz. 1935. S. IX i 145.

Krywoszejew Maciej. Fundacja narodowa teatrów warszawskich. Projekt statutu. Warsz. 1934. F. Hoesick. Str. 32.

Burdecki Feliks dr. Życie maszyn. Z 21 rys. Warsz. 1934. Książnica Atlas.

Milewski T. i Meissner J. Przez Ergi i Hammady Sahary. Warsz. 1934. Książnica Atlas.

Pohoska Anna. Syn Kujaw. (Jan Kasprowicz). Warsz. 1934. Książnica Atlas. S. 64.

Różycki, Kobendza i Paszkowski. Bielany pod Warszawą. Przewodnik. Książnica Atlas.

Sokołowski Jan Optat. Sprawa żydowska w adwokaturze. Warsz. 1934. Nakładem Narod. Zrzeszenia Adwokatów. Str. 35 (Cena 1 zł.).

Ruch Literacki, listopad.

Szelburg - Zarembina Ewa. Dzień Miasta. Poezje. Warsz. 1935. B-cia Drabczyńscy.

Dobrowolski Ryszard St. Wróżby. Zajazd romantyczny (Poezje). Warsz. 1934 „Sfinks".

Glemma Tadeusz ks. Stosunki kościelne w Toruniu w XVI i XVII w. na tle dziejów kościelnych Prus Królewskich. Z Roczników Tow. Nauk. w Toruniu, 1934. S. 228.

Prus Bolesław. Pisma I. To i owo. Z przedmową Zygm. Szweykowskiego. Warsz. 1934. Gebethner i Wolff.

Chłedowski Kazimierz. Z przeszłości naszej i obcej. Dwa tomy w jednym. Lwów 1935. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. S. 711 i wiele portretów.

Historja Sztuki. T. III. Wład. Tatarkiewicz. Architektura nowożytna. Żarnowski Jan. Nowożytne malarstwo i rzeźba. Izydowski Tadeusz. Sztuka XIX i XX wieku. Lwów 1934. Ossolineum. S. 515. Z ilustr.

NA MARGINESIE

Dzieła R. Dmowskiego są poszukiwane...

„Wieczór. Warsz." zamieścił 8 b.m. taki telegram z Grudziądza:

„Policja przeprowadziła rewizję u emerytowanego sierżanta Stanisława Lewandowskiego. Lewandowski był swego czasu działaczem O. W. P., teraz pracuje również w organizacjach narodowych. Rewizja była bardzo skrupulatna... Obecnym podczas rewizji domownikom agenci oświadczyli, że szukają książek Romana Dmowskiego, o których posianie... podejrzewają Lewandowskiego".

Przyszły historyk będzie miał niemały kłopot z tą notatką, o ile będzie świadomy tego, że w r. 1935 Grudziądz leżał w granicach Państwa Polskiego. Przed wojną należał z Pomorzem do Prus. Wtedy też tam szukano książek Dmowskiego.

*

Dzienniki coraz częściej radę przyboczną komisarza m. Warszawy, p. Starzyńskiego, nazywają bajratem (z niem. *Beirath*). Członków tej rady będą zapewne nazywać bajradcami. Pierwszem zadaniem bajradców będzie podobno uchwalenie podwyżki podatku od nieruchomości o sto procent. Dlaczego nie o dwieście odrazu?

Bajradca dobrze brzmi ze względu na symboliczną literę B, potem baj (wolno będzie gadać), a zwłaszcza że raj. Bajże baju — będziesz w raju. Tym rajem będzie Warszawa. Bo czyż cała ta nazwa bajradca nie robi wrażenia dzielności, jakiejś jurności... stuprocentowej?

*

W żydowskich „Wiadomościach literackich" (nr. 2) czytamy następującą charakterystykę: „Juljan Tuwim—poeta i satyryk, najbardziej rasowy polski pisarz"...

Co za niesprawiedliwość!... To niby taki p. Słonimski ma być mniej rasowy?!...

*

— „A dyć lekko to nie jest" ale „na gorzałkę wszak wydajemy conajmniej sto razy tyle"...

— „Będziemy mieli rychle fajną bibljotekę"...

— „Najlepiej zasadzić nasze śliczne dziewuchy, Kasię, Marysię... one potrafią wycyganić pieniądze... na budowę specjalnej chałupy na czytelnię"...

Któż to mówi takim zabawnym żargonem? Tak fejletonista syjonistycznego „Naszego Przeglądu" wyobraża sobie pogawędkę chłopów i bab wiejskich, rozprawiających o nowej ustawie bibljotecznej.

Niezrównane są te żydy...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.
PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.
Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM